BIBLIOTEKA INSTYTUTU BAŁTYCKIEGO W GDAŃSKU

Stron 8 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. Cena 75 gr.

Wieś

tygodnik społeczno-literacki

Rok VIII Warszawa, dn. 4. II. 1951 r. Nr 5 (288)

CIV 9037

W NUMERZE:

L. SOBIERAJSKI — List ze zjazdu pisarzy. E. NIZIURSKI — korespondent pomaga pisarzowi.
W. DRYGAS — Po dekrecie. S. CIEŚLAK — bilans roku 1950. K. KOSZUTSKI, — K. SIMONOW — Wiersze.
H. ŻABIKÓWNA — O opowiadaniach Dunarowskiego. T. ORLEWICZ — Kraj walczącej Azji.
R. KONICZEK — O książce Jules de la Madelaine. H. KIRCHNER — O książce E. Bronte.
I. G. KAMIŃSKI — będzie świetlica. R. ZAWADA — Mac Arthur Europy
S. SKULSKI — Jadą wozy ze zbożem. J. POGAN — Dziwny kułak. KORESPONDENCJE.

JAK ZACZYNAJĄ NAJMŁODSI

Do dyskusji o kadrach literackich wnosimy jeszcze jeden przyczynek. Dotyczy on sprawy najmłodszych. Oto na apel wydawnictwa M. O. N-u o nadsyłanie materiałów na temat wyzwolenia — nadesłał ze wsi *czternastoletni chłopiec* powieść (1-szy tom), a na dodatek wiersze. Wśród tysiąca dłuższych i krótszych wypowiedzi łatwo było „dziecięcą produkcję" przesunąć do szafy z napisem: „wątpliwe". Ale redaktorka Żywulska jest czujna. I ma kryteria czujności. 14-letni autor? To znaczy, że trzeba postawić sobie dwa pytania.

1) Jakie warunki i jakie bodźce wpłynęły na tak wczesną pisaninę?

2) Jakie warunki i wpływy określiły treść tej pisaniny?

Z miejsca wysunął się szerszy problem. I właśnie dlatego, że w powieści i wierszach 14-letniego chłopca widać zadatki twórcze, że wart jest opieki i pomocy literackiej.

Talenty drzemią w ludzie — to my wiemy. Ale, jak się budzą, właśnie obecnie, właśnie u najmłodszych to wymaga obserwacji ,badań i wyciągania wniosków dla polityki kulturalnej, dla rewolucji kulturalnej.

Omawiamy tu jeden przypadek. Daleko więc do szerokich uogólnień. Ale i częściowe wnioski mogą mieć znaczenie.

14-letni debiutant nazywa się *Stanisław Wiechno*. Jest synem kowala ze wsi Leśniczówka pod Dąbrową Zduńską, w gm. Bąków, pow. Łowicz.

Cztery co najmniej możemy wyliczyć czynniki, jakie wpłynęły na przyśpieszenie i treść pisaniny chłopca.

1) Pochodzenie, najbliższe i dalsze otoczenie.

2) Ruch oporu w okolicy w 44 r. i udział chłopca w partyzantce.

3) Powstanie Liceum Rolniczego i Ogólnokształcącego w Dąbrowie Zduńskiej w r. 1945.

4) Wpływ liceum pośredni na chłopca i bezpośredni od roku.

Chłopak wychowywał się w cieniu kuźni i w kręgu wyrobników i proletariuszy wiejskich, pracujących we dworze, u młynarza i innych bogaczy. Kuźnia to dobre miejsce dla gawęd. Dziecko nieraz posłyszało o dziadka doli na pańskim, we dworze, nieraz o ojca towarzyszach, którzy ginęli w walce z granatową policją. Takimi gawędami zastąpiono mu okres bajek.

Gdy miał lat 8 przybyli do wsi „warszawiacy", wśród nich KPP-owiec. Zaczęła się robota partyzancka, ta, która musiała na podrostku wywrzeć niezatarty ślad, sam bowiem brał w niej udział. Choć zaczęło się od tego, że KPP-owiec (jak jest w powieści) zabronił: „Nie, dziecko, ty teraz ucz się, ucz się pilnie! Nauka to twoja broń przeciwko faszystom. Za kilka miesięcy będziemy walczyć nauką i pracą. A do partyzantki już należysz sercem."

W życiorysie Wiechny jest coś z powtórzenia dziejów Pawki Korczagina. I trzeba pamiętać o tym kolejnym zazębianiu się kuźni i wyrobników z następnym bezpośrednio etapem partyzantki, pod kierownictwem KPP-owca.

Ośmioletni chłopczyna przechodzi prawidłowy kurs historii najnowszej. Na najbliższym otoczeniu: dwór, plebania, młynarz, kułacy, małorolni, inteligenty warszawskie, wyrobnicy, posterunek żandarmerii niemieckiej, objaśnia mu się podział klasowy, walkę klasową, fronty walki politycznej o niepodległość narodu i wolność ludu. On należy do partyzantki sercem i rozumem.

A potem rok 1945. Ledwie wojska radzieckie i polskie przepędziły wroga, nauczyciele znajdujący się na skutek okupacji i Powstania Warszawskiego w okolicy postanowili utworzyć liceum. Nie było budynku. Ale powstaje komitet chłopski z najbliższych wsi. Nie ma cegły i drzewa budulcowego. Nic to. Starosta kutnowski pozwala na przejęcie „wojennych" baraków — chłopi transportują je na wozach. Jeszcze tego mało. Zwraca się komitet do dzieci, aby przeprowadziły zbiórkę pieniędzy. Na „cegiełkę" ludzie z gminy dali *milion* złotych. A tu wymiana starych („krakowskich") pieniędzy. Delegacja do prezesa Narodowego Banku Polskiego. Pieniądze uratowane.

12 maja 1945 r. zżęto zielone jeszcze żyto i zaczęto kopać fundamenty w Dąbrowie Zduńskiej.

18 września budynek był wykończony — otwarto liceum. To było wydarzenie w okolicy. Symbol wolności. Symbol nowych czasów. „Nauka to twoja broń przeciwko faszystom", tak mówił w dniach walki dowódca, KPP-owiec. Nauka ukazała się 9-letniemu chłopcu, jako nowy, namacalny ośrodek wyższej wiedzy w okolicy. Jako dzieło rewolucji, przedłużające poprzednią walkę i z nią nierozerwalnie związane. Chłopak zresztą sam ganiał z „cegiełką".

Liceum w Dąbrowie Zduńskiej czytelnicy „Wsi" dobrze znają, z częstych i od lat przysyłanych korespodencji młodego nauczyciela, Mariana Miniasa. Ostatnio wypowiadali się uczniowie maturalnej klasy. (Wieś nr 48, 50 r.). Cóż o nich można powiedzieć? ZMP-owcy (małorolni, ze spółdzielni produkcyjnych, średniacy) agronomowie - fachowcy, pogłębieni ideologicznie, oczytani, wielorako i intensywnie pracujący od lat w terenie (świetlice, pomoc i planowanie w zbiorowych pracach rolniczych). Jak pisała jedna z nich, Irena Prusińska: „Pójdziemy po maturze na pierwszą, awangardową linię — do spółdzielni. A jeśli do wsi starego jeszcze porządku — nasza wiedza i ideologia agronomów socjalizmu będzie pomostem dla przyszłości". Trzeba też powiedzieć i tak: Nie tylko Minias pisywał do „Wsi", „Wieś" kształtowała i przemieniała rewolucyjnie Miniasa (w rocznikach z czterech lat są na to wymowne dokumenty) a był on i jest nauczycielem o największym wpływie na młodzież.

Wiechno ma 14 lat, ale od dawna już jest ZMP-owcem, najpierw wiejskim, potem gimnazjalnym. Dzielna młodzież zetempowska z liceum Dąbrowy Zduńskiej od lat działała w okolicy. W powieści Wiechny spotykamy się z nazwiskiem młodego Rybusa Mieczysława, (czyżby) autora artykułów, dopełniających we „Wsi" (w r. 1948/9) dyskusję o „działaczach-przedsiębiorcach" w Godzianowie. Pewnie już skończył liceum, ten bardzo starszy kolega Wiechny.

Rok temu, mając 13 lat zaczął Wiechno pisać powieść o życiu i przemianach na swojej wsi. Okupacja wsi Leśniczówka opisana jest z zadziwiającą siłą wyrazu. Jakby notował swe przeżycia i obserwacje mały Korczagin. Niezwykle też sugestywny jest opis ruchu oporu i toczącej się walki klasowej z centralną postacią młynarza „działacza przedsiębiorcy".

W r. 1950 Wiechno zaczął chodzić pieszo do gimnazjum (mówiąc po staremu) do Dąbrowy - Zduńskiej. W jaką wszedł atmosferę — opisałem. Na co trafił w bibliotece szkolnej? Na Majakowskiego i Broniewskiego. Echa dyskusji o poezji z wiosny ub. roku (w „Nowej Kulturze") tu nie uszły uwadze nauczyciela. Piszesz, szkrabie, wiersze — masz Majakowskiego! A wczesną jesienią — masz Broniewskiego!

Nie ma cudów. Życiorys Wiechny wyjaśnia możliwość wczesnego pisania (oczywiście w granicach pierwszych prób i zadatków pisarskich). Jest to życiorys rozpalonego żelaza w kuźni walki wyzwoleńczej ludu i proletariatu polskiego i hartującego się na stal pod młotem rewolucji.

To nie patetyczna przenośnia. W rocznikach najmłodszych (14—20) obserwujemy wyraźnie to zjawisko. Ostatnie lata okupacji i nowe lata walki klasowej o utrwalenie zdobyczy rewolucji i zbudowanie socjalizmu wypełniają decydująco u nich okres dziecięco - młodociany. Jak hartowała się u nas i hartuje stal na wsi? Czytelnikom „Wsi" mówią o tym wyznania Kisieckiego, syna robotnika folwarcznego z fornalskich „Ostróżan", gdzie był sowchoz przodujący, w r. 1940, gdzie w latach 44—47 padli od kuli klasowego wroga fornale PPR-owcy, mówią wyznania J. Dziąga wygnanego z domu syna w Głuchowie, mówi historia walki o świetlicę Mikulskiego z Unina, mówią Bakula, Udalski i wielu, wielu innych.

Tam, gdzie trafiamy na budzący się talent (na jego możliwość) tam zawsze znajdziemy w okolicy zagęszczenie sił wrogich i sił rewolucji w ostrej walce. A w gminie Bąków nie od dziś zaczęła się zdecydowana ofensywa biedoty na silne tam pozycje kułackie. To jedno, a drugie: na życiorysie Wiechny widać jak rewolucja docierała w głąb kraju, jak fale jej napełnione różnorodnym ładunkiem wciąż omywają najskrytsze zakątki. I jak ona nie tylko kształtuje najpełniej młodzież, ale pobudza i przyśpiesza jej twórczy rozwój i udział.

Życiorys Wiechny to jeden z dowodów na to, że jest rewolucja, że w kulturze dziać się zaczyna również przez najmłodszych, skoro jest potrzebna i nieodzowna.

Trzynastoletni Wiechno i jego miła, 13-letnia Krystyna, już wiedzieli kim chcą być: on — dziennikarzem, ona — nauczycielką. I wiedzieli — dla kogo!

Jan Aleksander Król.

PAMIĘTNIK CHŁOPA

Mój dziad
co siły
sterał do cna
pięćdziesiąt
temu
lat
na polu pańskim
łkał...
Płynęły,
płynęły łzy
bo wstrzymywać ich
niesposób...
Gięły się dłonie
w pięści
przeciwko panom losu
Mój ojciec
ten już nie płakał
bezsilnie
Gniew rósł
i pęczniał
aż wybuchnął w czynie.
Dusili Sławojczyków
z granatowymi się bili —
Padli...
„Międzynarodówkę"
śpiewał im na mogile
ojciec mój
Płakały oczy
gięły się plecy
w pięści kurczyły się palce
Po to
by dziedzic
jechał do Italii —
chłopi
kartofle z solą
jadali...
Po to
aby Radziwiłł
mógł zwiedzać Wiedeń
ludzie w czworakach
cierpieli
biedę...
Po to,
aby Goeringa
mógł gościć Śmigły —
dziecku chłopskiemu,
miast książek —
widły.

I oto,
oto po ciężkich latach
w twardych robotą
ramionach ojca
znowu wesoło
biją sztandary
I wszędzie
wkoło.
Prysło co stare,

Budujemy
Sześcioletni
Plan.
To nasz październik
Świt
mamy w dłoniach
Czas
mamy w dłoniach.
Rewolucyjna awangarda
budowniczych postępu i pokoju
Toczymy
walkę
na wszystkich frontach
Faszyzm
powstaje
znowu
Trzeba go silniej
niż bagnetem
Trzeba go silniej
niż sercem.
Trzeba
go w piersi
uderzyć
naszą pracą,
wolą,
rozumem.
Trzeba
go w piersi dźgnąć —
silniej niż piorunem.
Zatknęliśmy
drzewca
na wszystkich
polach
I walczymy
każdej
pory
roku.

STANISŁAW WIECHNO (14.10.1950 r. — Leśniczówka)

CZERWONE MAKI

(Fragment powieści)

Rys. St. Motyl. Rysunek z gazetki świetlicowej grom. Kępa.

Groszowski stał na ganku i przyglądał się, jak Andrzej zaprzęga konie do bryczki. Ogier rżał wesoło, skubiąc białymi zębami kark swej towarzyszki.

Chłopiec otworzył bramę i zwrócił się do młynarza: — Gospodarzu, chciałbym dzisiaj iść do Kotulskiego, mam interes... Czy Feliks mógłby jechać na stację zamiast mnie? Proszę was bar...

Nie dokończył, bo młynarza jakby kto kolnął w tłusty tyłek ostrą igłą. Czerwony ze złości, trzęsąc się cały w przypływie nagłej pasji zeskoczył z bryki, na którą się sadowił. Andrzej widział często młynarza w gniewie, ale takiego jak teraz jeszcze go nie widział. Przeżegnał się w duchu. Młynarz już stał obok niego.

— Coś powiedział? Mów coś powiedział! Nie chcesz jechać do Jackowic? Felka chcesz wysłać, interesem się wykręcasz? Smarkaczu, jakie ty możesz mieć interesy, co? W tejże chwili maszeruj na kozioł! Ja cię tu nauczę rozumu! Bo jak nie, to was na zbity łeb wyrzucę z mieszkania! Za co ja ci żryć daję?

Sapał gniewnie i pieniąc się szedł prosto na chłopca.

— A ja wam mówię, że nie pojadę! Nie chcę i nie będę waszym parobem...

Znowu nie dokończył, bo rozwścieczony młynarz uderzył go zwiniętą pięścią w twarz. Chłopiec zachwiał się, ale utrzymał równowagę. Jednocześnie poczuł na wargach coś słonego i ciepłego. Krew pociekła ciurkiem z rozbitego nosa. — Jedziesz, czy nie? — wrzeszczał nad nim młynarz.

— Nie.

Młynarz ponownie próbował go uderzyć, ale Andrzej uchylił się w bok i rzucił się z płaczem na swego prześladowcę. Silnie zwiniętym kułakiem rąbnął prosto w tłustą twarz bogacza. Groszowski zaklął wściekle i chwycił chłopca za głowę. Andrzej kopnął go silnie w brzuch, ale młynarz już bił go po głowie olbrzymią jak bochen pięścią. Andrzej wreszcie upadł na ziemię, wprost pod nogi prześladowcy. Młynarz rozwścieczony kopnął leżące ciało i splunął z obrzydzeniem.

Naraz na ganek wypadła Złotowa. Widząc nieprzytomnie leżącego syna stanęła w miejscu i byłaby upadła, gdyby nie chwyciła się ręką ściany domu. Groszowski spostrzegł ją i krzyknął:

— Co ty tu jeszcze porabiasz stara? Wont mi z mojego domu! Cholera jasna, on śmiał mnie uderzyć! Szczeniak!...

Młynarz miał rozciętą wargę. Obtarł krew wierzchem dłoni. Pobiegł do domu, chwycił jakąś rzecz Złotowej i wyrzucił przez otwarte drzwi na podwórko.

— Żeby mi tu wasza noga więcej nie postała!... Zabieraj, stara, synalka i won stąd! Już!

Andrzej poruszył się na ziemi. Matka oprzytomniała. Zerwała chustę z głowy, umoczyła ją w wiadrze, co stało przy studni i otarła nią twarz syna. Chłopiec otworzył oczy.

— Gdzie jest on, ten... ten... — Chciał poderwać się z ziemi, ale upadł. Krew znowu pociekła mu po brodzie, spływając na świeżą, bielutką, wyprasowaną wczoraj koszulę.

— Synu, uspokój się — płakała Anna i ciągle obcierała mokrą szmatą twarz Andrzeja.

— Ja mu pokażę — charczał Andrzej wypluwając krew z ust — zabiję go!...

— Co wy tu jeszcze robicie? — krzyknęła ostro młynarzowa wychodząc na ganek. — Bo jak przyjdzie do was Kostek, to...

— Milcz! — Andrzej poderwał się z ziemi — milcz, bo jak ci dam...

— Synu, chodźmy stąd, chodźmy prędko — szarpała go matka za połę marynarki. — Chodźmy stąd, chodźmy, bo on cię zabije.

Młynarzowa szybko zniknęła za drzwiami.

Złotowa podniosła tłumok i wzięła Andrzeja za rękę. Wyrywał się, chciał iść bić Groszowskiego po jego tłustym pysku. Ale Anna nie puszczała. Wyszli na drogę. Dwoje wysiedleńców bez domu i rodziny... Kto ich przyjmie?... U młynarza, chociaż pracowali jak woły, mieli jednak kawałek dachu nad głową, kęs chleba i łyżkę gorącej strawy... A teraz nie mają nic...

— Boże, Boże... — cichutko płakała Anna. Andrzej milczał Matka trzymała mocno, kurczowo ściskając jego rękę.

— Do sołtysa pójdziemy synu, może on coś poradzi?...

Na wsi ludzie, jak to ludzie, ciekawie pytali ich, co się stało? Prędko rozeszło się po wsi, że młynarz wypędził Złotych. Machoń, kiedy dowiedział się o wypadku, krzyczał:

— Świnia! Świnia z młynarza! Tak człowiek nie robi! Dlatego, że chłopak nie chciał jeden raz jechać na stację, to zaraz trzeba wyganiać go wraz z matką z domu? Świnia, powiadam!

Sołtysa nie było w domu. Pojechał z żoną na chrzciny. Anna zapłakała głośno — co teraz pocznie? Ludzie litowali się nad nią, pocieszali ,ale nikt nie poradził, co ma robić dalej. Nie jeden może przyjąłby ich do siebie, ale przecież u każdego już byli wysiedleńcy. — Gdzie wy się biedni podziejecie? — biadały gosposie. — Zima za pasem....

— A może do nas pójdziecie — odezwała się Maryniakowa.

Wszyscy spojrzeli na nią. Maryniakowie byli najbiedniejszymi we wsi i gospodarowali zaledwie na pół mordze ziemi. I oto teraz chcą sobie zwalić na barki nową biedę!

Złotowa także wiedziała o biedzie Maryniaków i nie chcąc im jej przysparzać odmówiła. Ale Maryniakowa uparła się: — Zginiecie marnie — mówiła — zima blisko. Już lepiej, jak zostaniecie u nas. Andrzej umie pracować — pójdą z moim starym do lasu i już... Już wy się nie martwcie! Z głodu nie pomrzemy!...

Andrzej wciąż milczał. Nie godził się, ani nie protestował. Siedział w kącie ponury, wbił wzrok w ziemię i milczał. Twarz spuchła mu od uderzeń, bolała go głowa.

Anna przystała wreszcie na perswazje Maryniakowej. Otarła łzy i wyszli z izby Zaledwie uszli kilka kroków, gdy tuż za nimi rozległ się tętent koni Obejrzeli się. Jechał młynarz. Mijając ich uśmiechnął się zjadliwie do Andrzeja.

— Jak się pan czuje, panie buntowniku? Nosek trochę nierówno zapuchł — może poprawić na równiej, co?

Andrzej szarpnął się i schylił po kamień. Matka całą siłą wyrwała mu go z ręki.

Groszowski śmiał się i pokpiwał jadąc tuż przy Andrzeju. Dopiero kiedy skręcili w podwórko Maryniaków, podciął konie, które z miejsca ruszyły cwałem.

W bramie Andrzej odwrócił się i nienawistnym wzrokiem spojrzał za młynarzem.

— Ja ci pokażę! — wycedził gniewnie przez zęby.

Stanisław Wiechno

DM 57/05

LEONARD SOBIERAJSKI

W N I O S K I

(List ze zjazdu literatów do pisarzy „Wsi")

Jerzy Putrament referat swój na Plenum Zarządu Głównego ZLP zakończył słowami: „...wkroczyliśmy w groźny, węzłowy, decydujący okres historyczny Świat jest podzielony na obozy. Jeden obóz — w obronie

Rys. Stefan Gierowski
Jerzy Putrament

przywilejów klasowych, w obronie prymatu państw imperialistycznych, nie umiejących rozwiązać własnych sprzeczności, nie mając do zaofiarowania ludzkości nic, poza powrotem do przeżytych form socjalnych i gospodarczych — otwarcie szykuje się do wojny.

Drugi obóz widząc jasno perspektywę swojej przyszłości, rozwiązując podstawowe trudności społeczne, usuwając od władzy klasy pasożytnicze, wcielając w życie zasadę równouprawnienia narodów — głosi konieczność utrzymania pokoju i o pokój walczy".

Ta sytuacja historyczna winna uwrażliwić czujność naszych pisarzy, winna mobilizować ich do największego twórczego wysiłku, z którego wyszłyby dzieła, „które pogłębiają wiadomość rewolucyjną naszej przodującej klasy robotniczej i mas pracujących, dzieła, które potrafią je porwać i zapalić do wykonania niezwykle ciężkich zadań przed nimi stojących."

Zadania te to budowa socjalizmu, to wykonanie planu 6-letniego — podwalin dla tej budowy. I pióro pisarza musi służyć tej sprawie, bo jest to zarazem sprawa całego naszego dziedzictwa kulturalnego, sprawa obrony naszej godności ludzkiej, sprawa gwarancji naszego wzrostu. Przeciwko tej potrzebie i woli naszego życia, woli, którą dzielimy z narodami, dążącymi do socjalizmu — czai się imperializm. I dlatego tak ważny jest i decydujący nasz zdwojony wysiłek w tym wszystkim, co wzmacnia naszą siłę jako ogniwa obozu pokoju.

Putrament zamknął swój referat hasłem — zobowiązaniem: „...swoją ważną misję w dziele podniesienia świadomości polskich mas pracujących, swoją cząstkę w wykonaniu planu 6-letniego, swoją cząsteczkę w wielkiej sprawie obrony pokoju — literaci polscy wypełnią." O tym zobowiązaniu pragniemy dzisiaj mówić z szerokim frontem współpracowników „Wsi", obejmującym pisarzy zawodowych i korespondentów, działaczy kulturalnych, młodzież ZMP-owską — wszystkich tych, którzy swoim piórem i konkretnym działaniem służą sprawie socjalistycznej przebudowy wsi, rozumieją, o co toczy się walka i wiedzą, w jakich historycznych warunkach ona się rozgrywa. Możemy na tym miejscu bez poczucia fałszywej dumy stwierdzić, że w pisarstwie Waszym, w ujmowaniu problematyki dzisiejszej wsi nie zapominaliście nigdy o jednym, że wieś nasza jest terenem najostrzejszej walki klasowej, że stała się ona ostatnim rezerwatem elementów kapitalistycznych, że wieś i małe miasteczka naszego kraju to schronisko reakcyjnej kanalii, która wczołgała się tam, by w oparciu o kułactwo sączyć swój gnilny jad rozkładającego się własnego organizmu. Na ten proces nigdy za dużo Waszej czujności. Musicie wyczulić Wasze oko na wszystkie sprawy, jakie dzieją się w polu Waszego widzenia, musicie umieć dostrzegać najmniejszą lukę, w którą wdziera się brudna łapa wroga klasowego, musicie umieć demaskować go na każdym odcinku życia wiejskiego. W ten sposób Wy, pisarze walczącej wsi, staniecie się najbliższymi towarzyszami chłopskich mas, prących pod kierunkiem klasy robotniczej do przebudowy swego życia na ludzki, socjalistyczny ład. Do zadań Waszych należy tak organizować swoje pisarstwo by z niego szła pomoc i siła dla drobno- i średniorolnych chłopów, by odczuli oni w Waszej prozie i wierszach, w Waszych reportażach, nawet w Waszych felietonach i notach wielkość i piękno toczącej się walki dla samej wsi, dla całego kraju, dla całej ludzkości, która obronę kultury wieków, co tyle krwi i ofiar kosztowała, składa dzisiaj w ręce Wielkiego Obozu Pokoju, którego nasze społeczeństwo musi się stać godnym szermierzem To chyba jest najsłuszniejsza dziś duma każdego uczciwego człowieka i tą dumą powinno dźwięczeć Wasze pisarstwo. Wielka radość, w którą Wasze pióro będzie trafiało, wymaga niesłychanego wysiłku artystycznego w każdym rodzaju literackim, w jakim spróbujecie zamknąć swoje pisarskie doświadczenia. JERZY PUTRAMENT RZUCIŁ LITERATOM HASŁO WALKI O JAKOŚĆ I WALKI O CZYTELNIKA. O czytelniku nie potrzeba Wam wspominać. Wiemy, że pisarstwo nasze ma służyć wsi walczącej o spółdzielczość produkcyjną, a więc o dobrobyt materialny i kulturę; ma służyć wsi walczącej o postęp, a więc wsi, likwidującej u siebie resztki ciemnoty i zacofania, cuchnącego spadku po feudalno-kapitalistycznych czasach, wreszcie pisarstwo nasze ma służyć wsi walczącej o pokój, a więc wsi, która potrafi dać wyraz miłości i szacunku dla towarzyszy wspólnej sprawy — bolszewików i narodów Związku Radzieckiego; krajów demokracji ludowej i walczącej klasie robotniczej krajów ciemiężonych przez kapitalizm.

Porozmawiajmy o zagadnieniu jakości naszego pisarstwa. Wam nie potrzeba mówić o metodzie realizmu socjalistycznego, ponieważ Wasze doświadczenia bezpośrednio wyrastają z walki klasowej o nową, socjalistyczną wieś. Żyjecie i działacie w „terenie", w swoje pisarstwo wnosicie to, czym ten „teren żyje". To jest wasza legitymacja na realizm socjalistyczny. Na jego pozycjach jesteście od dawna. Można jednak mówić o usprawnieniu Waszego warsztatu, można jednak mówić o pogłębieniu Waszej świadomości socjalistycznej, która klasowo przenikliwiej i lepiej artystycznie pozwoli Wam kształtować dokonujące się na wsi procesy. Musicie zdać sobie sprawę z funkcji swojego pisarstwa, z wielkiej siły jego oddziaływania, gdy włożycie w nie całą swoją pasję, gdy będziecie wiedzieli, co ono ma oznaczać w toczącej się walce o socjalizm. Putrament na zjeździe mówił i my Wam przekazujemy jego słowa: „Siła, specyfika artystyczna, polega właśnie na tym, aby nie nagą formułą polityczną, nie doczepionym politycznym komentarzem, ale logiką obrazu, postaci, rozwoju konfliktów przekazywać odbiorcy słuszną treść polityczną. Obraz artystyczny dłużej i głębiej zapada w świadomość ludzką niż najczęściej wspominane slogany. Nie przypadkiem nazwał Stalin pisarzy „inżynierami dusz ludzkich". Obraz artystyczny nie tylko trwalej i głębiej kształtuje świadomość od wszelkich innych form oddziaływania, ale i rozgrzewa ją, zapala, porywa."

Powiecie, że to są wymagania, które można stawiać wyrobionym, zawodowym literatom. Ale to nieprawda. Można je stawiać pisarzom, którzy próbują swych sił w reportażu czy nawet w mniejszych formach literackich jak felieton, list, czy notatka. Ale wtedy, gdy ten pisarz ma świadomość, że jego najdrobniejsza próba wypływa z potrzeby służby społecznej, gdy chce nią oddziaływać na swoje środowisko, gdy chce je przekształcać, brać czynny udział w jego walce, to wtedy nawet w felietonie czy nocie, można i należy pokazać konkretny obraz, określony konflikt, zdefiniowanych klasowo ludzi. I Wy macie na to warunki, tylko piszcie z dobrze zaobserwowanego materiału, umiejcie to organizować przy pomocy tych wyznaczników, według których ustawia go dialektyka procesów klasowego jeszcze społeczeństwa, a które wstępuje na drogę socjalizmu. Gdy będziecie trzymali się tych zasad, to Wasze pisarstwo będzie znajdowało coraz udatniejszy wyraz artystyczny. Jesteście o tyle w lepszym położeniu od pisarzy zawodowych, pochodzących przeważnie ze środowiska inteligencko - mieszczańskiego, że Wy wychodzicie wprost z mas chłopskich i robotniczych, że te masy są Wam bliskie uczuciowo i poznawczo, bo jesteście wśród nich.

„Dlatego nie będzie czczą przechwałką" — jeśli i do Was zaadresujemy słowa Jerzego Putramenta, sekretarza Generalnego ZLP — „że swoją ważną misję w dziele podniesienia świadomości polskich mas pracujących swoją cząstkę w dziele planu 6-letniego, swoją cząsteczkę w wielkiej sprawie obrony pokoju" — pisarze „Wsi" w całym swoim wymienionym na początku zestawie — wypełnią z pożytkiem dla swoich czytelników i literatury.

LEONARD SOBIERAJSKI

W poprzednim numerze

Stanisław Kisiecki — Ostróżany. **Jan Czarny i A.F. Kirlo Nowaczyk**— Wiersze. **Stanisław Nędza-Kubiniec** — Pieśń o K. Napierskim. **L. Gomolicki** — Lokaut. **L. Sobierajski** — Komu Reymont zawierzył? **B. Mejłach** — Literacki program dekabrystów. Agitacyjne pieśnie dekabrystów. **L. Herdegen** — O wierszach A. Słuckiego. **H. Bereza** — Literacki obrachunek z socjaldemokracją niemiecką. **T. Orlewicz** — I. G. Farben. **E. Martuszewski** — O scenariusz filmowy. **St. Mędelski** — O książce E. Malcewa. **W. Pietruczuk** — „Krużylicha" W. Panowej. **P. Chmura** — Stawiamy pytania. **J. Stachoń** — Dławienie krytyki. **M. Wielgus** — Durlik i kumoterstwo. **St. Klimek** — sprawa Komara.

EDMUND NIZIURSKI

KORESPONDENT POMAGA PISARZOWI

I.

W referacie wygłoszonym na ostatnim Plenum Zarządu Głównego ZLP Jerzy Putrament wskazał, że głównym zadaniem literatów w bieżącej chwili jest dopomożenie swą twórczością polskim masom pracującym z klasą robotniczą na czele w wykonaniu planu sześcioletniego i że „w tym celu należy bliżej zapoznać się z problematyką ich życia i pracy, z nimi samymi, z ich wymaganiami od literatury".

Niewątpliwie zasadniczym sposobem powiązania pisarza z zagadnieniami życia i pracy robotnika i chłopa jest osobiste zetknięcie się z nimi, jest pobyt literata w terenie w fabrykach i wsiach, bezpośrednie zapoznanie się z „rzeczywistością szczegółową", z konkretnymi sprawami mas pracujących w ich pracy i walce.

Tu jest podstawa pracy literata. To między innymi pozwoli powieściopisarzowi stworzyć pozytywnego bohatera w typowych konfliktach i sytuacjach przy zachowaniu ich pełnej „konkretności i indywidualizacji w czasie i przestrzeni" a poecie przezwyciężyć ogólnikowość i deklaratywność, która w swej istocie wynika właśnie z niedostatecznej znajomości naszej rzeczywistości w jej szczegółach.

Obok osobistego zetknięcia z terenem nasi literaci dysponują dziś jeszcze jedną potężną a wciąż jeszcze niedocenianą pomocą w swej pracy. Pomocą tą są korespondencje terenowe, są setki krytycznych uwag, faktów, zdarzeń, ocen z różnych stron naszego kraju zamieszczanych na łamach dzienników przez „sumienie" mas pracujących — korespondentów robotniczych i chłopskich.

Na czym polega znaczenie zamieszczanych w dziennikach korespondencji i opartych na materiale terenowym artykułów dla pisarza? Polega ono po pierwsze na tym, że korespondencje terenowe rozszerzają ogromnie krąg doświadczeń terenowych pisarza, mnożą niejako i potęgują jego wiedzę o terenie. Pozwalają mu uchwycić to co typowe, pozwalają skorygować i uzupełnić pod tym względem własne doświadczenia. Każdy utwór literacki jest zawsze sumą i syntezą wybranych doświadczeń pisarza. Im więcej tych doświadczeń, tym większa gwarancja poprawności wyboru i uchwycenia typowości, a jednocześnie tym większa możliwość konkretyzowania i indywidualizowania wydarzeń i postaci.

Pisarz przebywający w terenie w jednym jedynym zakładzie narażony jest zawsze na błędy autentyzmu, zacieśniania kręgu widzenia i perspektyw, a także koniec końcem na „technologizm", który wy-

tknął Putrament m. inn. Mirosławowi Kowalewskiemu. Oto odwrotna strona zagadnienia pisarza przebywającego w terenie. Chodzi o to, by **pobyt** w danym miejscu nie spowodował **zasklepienia.** Nie jest przypadkiem, że pisarz bodaj najściślej związany i obeznany ze swoim „terenem" jak Kowalewski — który jeszcze w czasie okupacji pracował w cukrowni jako robotnik, od 1946 r. był „zmianowym" w cukrowni Ząbkowice pod Wrocławiem, a potem głównym chemikiem zakładu — najwięcej grzeszy „technologizmem", tj. zbytnim zacieśnieniem kręgu widzenia autora (do technicznego procesu produkcji), ze szkodą dla pogłębienia klasowego i psychologicznego bohaterów książki. Pewne niebezpieczne zwężenie spojrzenia do wewnętrznych spraw kopalni znajdujemy także w „Węglu" Ścibora-Rylskiego, który swą powieść opierał również na osobistych doświadczeniach i dokładnej znajomości terenu.

Zbytnie zacieśnienie kręgu widzenia do danego zakładu, lub jeszcze gorzej do samego technicznego procesu produkcji jest więc drugą błędną krańcowością zagrażającą, podobnie jak — **ogólnikowość**, naszej nowej literaturze w jej wieku dojrzewania.

Na prawie a nawet obowiązku niekrępowania się ramami autentyzmu, czerpania tworzywa z różnych zdarzeń w różnych miejscach, tworzenia z poszczególnych elementów rzeczywistości nowego, własnego obrazu, będącego syntezą wyselekcjonowanych doświadczeń, polega właśnie różnica między powieściopisarzem a reportażystą. W zdobyciu tej „jednoczesnej wiedzy" o naszej rzeczywistości w różnych terenach i sytuacjach nieocenione usługi odda między innymi korespondent terenowy gazety — ów wszędobylski „notatnik pisarza", jego „oko i ucho" w setkach spraw w setkach miejsc.

II.

Użytkowe znaczenie korespondencji terenowych i opartych na terenowych wiadomościach artykułów dla warsztatu pisarza oczywiście na tym się nie wyczerpuje. Niekiedy stają się one wprost konspektami powieści, nowel, dramatów, komedii. Zaznaczmy — nie tematami ale **konspektami.** Takim konspektem dla Janusza Warmińskiego autora sztuki „Zwycięstwo" stał się terenowy artykuł w „Głosie Wybrzeża", opowiadający o walce klasowej przy powstawaniu spółdzielni produkcyjnej w pewnej wsi pomorskiej.

Takim typowym problemem korespondencji ujętej w literackie formy jest opowiadanie Kuśmirka w I numerze „Twórczości"...

A oto relacja chłopskiego korespondenta „Trybuny Ludu" Wojtkowskiego — pasjonujący konspekt powieści lub filmu.

Nad rzeką Prosną w Grabowie, pow. Kępno stoi młyn bogacza Serafińskiego, właściciela około 100 mórg ziemi. Szyld na młynie głosi: „Młyn parowy w Grabowie", ale mimo, że młyn jest rzeczywiście parowy, młynarz dochodzi do wniosku, że napęd wodny jest tańszy i przestawia się „na wodę". Zawala więc łożysko rzeki kamieniami i cementem, by „spiętrzyć wodę i własne dochody". Ale sprawa ma i drugą stronę. Na skutek tamy w mokrych porach roku rzeka zalewa cały obszar poniżej młyna, t.j. około 900 ha łąk i pól biedniackich, niszczy rok rocznie zasiewy i paszę. Biedota buntuje się przeciw tej plądze. Jeszcze za sanacji pod przewodnictwem miejscowych KPP-owców walczy jak może z kułakiem, rozrzuca kamienie na rzece, kopie kanały, żeby woda spływała. Zdarza się, że ponad stu chłopa siedzi za to w kryminale... Tak było przed wojną? A dziś?... Niestety, tu zaczyna się problem haniebnej funkcji biurokracji w walce klasowej, funkcji stępiania ostrza władzy ludowej wymierzonego przeciwko wyzyskiwaczom i gnębicielom. Od roku 1945 rok w rok pada od zgniłej paszy po osiemdziesiąt sztuk biedniackiego bydła. Przez pięć lat napróżno kołatali chłopi ze Skrzynek i innych gromad do różnych urzędów, domagając się zlikwidowania tamy i uzdrowienia sytuacji. Nareszcie (co prawda dopiero w 1950 roku) ostatnia instancja, Wydział Melioracyjny Ministerstwa Rolnictwa zadecydował wybudowanie ruchomej tamy. Minęło jednak kilka miesięcy a sprawa nie ruszyła z miejsca. W końcu ulegając prośbom biedoty, starosta wieluński, na podstawie specjalnych pełnomocnictw udzielił im zezwolenia na rozwalenie tamy. Chłopi tamę „w mig" roznieśli... Niestety, walka nie tylko nie skończyła się ale przybrała na sile. Rozwścieczony kułak unieruchomił młyn, zwalając winę na chłopów ze Skrzynek. Ludzie z Grabowa (pow. Kępno) leżącego powyżej tamy, muszą wozić zboże o kilka kilometrów dalej, do innego młyna.

W ten sposób sprytny kułak pokłócił chłopów z Grabowa z chłopami ze Skrzynek i innych gromad leżących poniżej tamy. Udało mu się zwekslować walkę na tory „pozaklasowe". Udało mu się dzięki obojętności organizacji partyjnych obu zainteresowanych powiatów i biurokratycznemu bezwładowi zarządu miejskiego osady Grabów, który nie tylko nie potrafił ale nawet nie próbował zmusić kułaka Serafińskiego do uruchomienia młyna za pomocą pary, a w razie jego oporu interweniować w ZSCh o przejęcie młyna i puszczenie go w ruch przez „Samopomoc".

Ileż w tym autentycznym zdarzeniu opowiedzianym przez korespondenta problemów, jakie napięcie walki klasowej! Brakuje tylko jednostkowego pozytywnego bohatera — niech nim będzie sam korespondent. Jeśli dziś biedota ze Skrzynek i Grabowa wygrała walkę z bogaczem wielka w tym zasługa korespondenta.

III.

Przejdźmy wreszcie do trzeciej, bardzo ważnej funkcji użytkowej korespondencji terenowych w warsztacie literata.

Edmund Osmańczyk w posłowiu do swych „Tematów do powieści" w I Nr „Twórczości" zaczerpniętych z autentycznych wydarzeń pisze: „...zaczynam się zastanawiać, czy postępują naprawdę słusznie ci powieściopisarze, którzy męczą się intuicyjnym tworzeniem postaci i wymyślaniem bardzo skomplikowanej literacko fabuły, jeśli tak łatwo można napotkać prawdziwych bohaterów prawdziwych dramatów współczesności, w której żyjemy..."

W słowach tych czai się pół drwiący uśmiech wytrawnego publicysty na widok wysiłków powieściopisarzy. „Gdybym był powieściopisarzem, to ja bym wam pokazał", chwali się Osmańczyk i wytrząsa z rękawa swego publicystycznego habitu jak z rogu obfitości, gotowe szkice powieści — wszystko z autentycznych wypadków. Ale nie dajmy się zwieść iluzjoniście. Sztuka polega nie na tym, żeby napotkać temat Sztuka polega na **umiejętności widzenia.** Napotkać zawsze można temat, ale poprawnie zobaczyć? To jest cały problem literata w terenie. Zobaczyć sprawy i ludzi we właściwych proporcjach, zobaczyć węzły problemów... Do tego trzeba mieć właśnie oczy Osmańczyka albo... korespondenta terenowego. Biurokraci też „siedzą" w terenie, ale co z tego, kiedy są ślepi. Niejeden z nich, co się niestety zdarza, zajmuje kierownicze stanowisko, teoretycznie ma nawet szersze możliwości obserwacji, a jednak nie widzi nic, co więcej, nie znosi, żeby ktoś inny widział... Biada literatowi, który za swojego „cicerone" w terenie weźmie w dobrej wierze takiego dławiciela krytyki jak np. pewien dyrektor Stoczni Jachtowej w Gdańsku, czy „dzierżymordę-terrorystę" jak dyrektor Komar z PGR Nowa Cerkiew lub klikę kumoterską Durlika z Pogorzałych.

Również uważaliby za osobistą zniewagę sekretarz komitetu gminnego Dołgan i burmistrz z Grabowa Skrobański — statyści z naszego filmu p.t. „Młyn nad Prosną", który w konspekcie przedstawiliśmy powyżej, gdyby im zarzucić, że nie widzą głównych punktów w topografii klasowej swojego terenu: młynarza-bogacza i walczących z nim od lat biedniaków ze Skrzynek.

A jednak nie od tych statystów zdobędą nasi literaci materiał do powieści, nie od nich będą się uczyć poprawnego widzenia rzeczywistości klasowej. Będą się uczyć natomiast od takich korespondentów, jak Wojtkowski z Grabowa.

Problem literata w terenie, w fabryce i na wsi, to problem **widzenia jak korespondent,** to ustawiczna walka o należytą ostrość spojrzenia, o właściwe wartościowanie zagadnień, o oczyszczanie pola widzenia z mgieł zawieszanych przez biurokratów. Tego widzenia uczymy się od korespondenta chłopa i robotnika, uczymy się z artykułu terenowego w gazecie. Każda dobra korespondencja jest bowiem dla literata nie migawkowym zdjęciem ułamka rzeczywistości, lecz obrazem załamanym już w świadomości klasowej korespondenta i wyselekcjonowanym. Jest tam już z reguły ocena rzeczywistości z punktu widzenia partyjnego, jest owa socrealistyczna tendencyjność, na którą kładł nacisk Putrament.

Każda korespondencja i każdy dobry artykuł terenowy w gazecie, to **lekcja odcyfrowywania w konkretnej rzeczywistości walki i zadań,** na które wskazuje Partia. Tu poznajemy nie tylko fakty, ale i sposób widzenia ich przez świadomego klasowo robotnika i chłopa i to jest najcenniejsze z tego, co korespondencje w gazetach dają codziennie pisarzowi.

Edmund Niziurski

KAZIMIERZ KOSZUTSKI

JESZCZE NOC...

Na polach obszarnika z Palermo zabity został bezrobotny, który zbierał kłosy na ściernisku (z prasy).

Dziś męża jej na obszarniczym polu zabili.
Jedno serce dwu kul nie pomieści —

I na cóż się zdało w górach Emilii
leśną roztrwonić młodość?
W ojczystej ziemi,
wciąż jeszcze nie w ojczyźnie,
sen o pracy i sen o chlebie
jak kamień w wodę.
Szło za nim krok w krok, jak wyzwisko: bolszewik —

Znów tłusty bankier, ksiądz i żandarm,
kupiec, fabrykant i obszarnik
wrócili do swych praw i posad.
I komunista pracy żadnej
nie znajdzie w wilczej ich owczarni,
jeżeli nie chce psem pozostać.

A na obszarniczym, na księżym, na pańskim
przelotne ptaki i myszy polne się karmią
rozsypanym w polu ziarnem,
lecz jak łańcuchowy pies, jak jastrząb,
oczy najemnego wartownika patrzą...

I ten, który się przed głodem nie ugiął,
rękami zatrzepotał, jak ptak,
na ryżym ściernisku uklęknął
i do piersi rozdartej przytulił
jak sztandar, skrwawioną ziemską kulę,
zaciśnięty w pięściach kłos.

Niebo szczerzy wilcze kły gwiazd,
wiatr w dzwon obłoków bije na alarm.
W płucach powietrze, jak rozpalony głaz,
a oczy —
oczyma gasnącymi te stogi podpalić,
niech wybuchnie z nich kłosów płomień!
Niech trzaskają ostre ziarna iskier!

Jakim słowem wdowę po zamordowanym wesprzeć,
słowem, które od zwątpienia ocali?
Nie poddawaj się, żono komunisty!
Tej nocy jeszcze
dziesięciu górników z Valdarno wstąpiło
do Komunistycznej Partii Włoch,
aby po poległym zapełnić w szeregach wyłom.

Kazimierz Koszutski

WOJCIECH DRYGAS

PO DEKRECIE...

Wizyta w Powiatowej Radzie Narodowej zaczęła się od nieprzewidzianych trudności. Sekretarz prezydium PRN, zamknięty na cztery spusty w gabinecie, konferował z komisją zdrowia i nie przyjmował w tym dniu żadnych interesantów. Według opinii woźnego konferencja miała się przeciągnąć do wieczora. Przewodniczący prezydium wyjechał podobno do Łodzi, gdzie miał pozostać przez całą dobę. Nie było więc jakiejkolwiek nadziei, że go dzisiaj ujrzę. Wykluczałem również możliwość zetknięcia się z jego zastępcą, który od

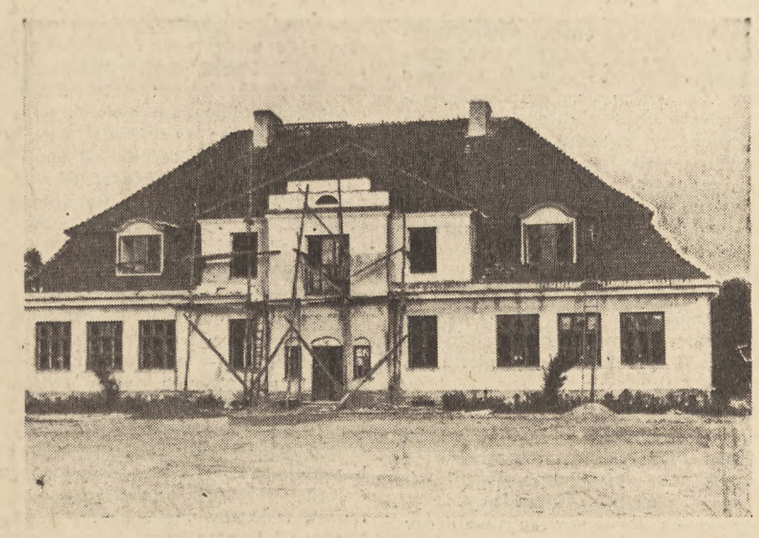

Remont szkoły. Fot. T. Szewera

kilku dni wizytował teren. Niemniej jednak obywatel woźny radził mi rozgościć się wygodnie w zaciszu gabinetu prezydium i czekać z uporem wzorowego petenta dopóty, dopóki ktoś z Rady wzruszony moją cierpliwością nie raczy litościwie odgadnąć celu mego przyjazdu.

Kłopotliwą sytuację rozstrzygnęły nieprzewidziane okoliczności. Bo oto w woźnym obudziła się w pewnej chwili czujność. Bądź co bądź w gabinecie prezydium obcy osobnik? Może to ktoś z województwa na inspekcji? Więc zapytał niby od niechcenia:

— A obywatel skąd—to przybywa?

— Z Łodzi — odparłem.

— A delegacyjka jest? Bo to wiecie obywatelu, teraz jest czujność klasowa... — dodał usprawiedliwiająco.

Pragnąc rozwiać jego podejrzenia przedłożyłem mu swoją legitymację prasową. Woźny zrobił wielkie oczy i od tego momentu wypadki potoczyły się z zadziwiającą szybkością. Niemal w jednej chwili zjawili się i przewodniczący prezydium PRN, który przed kilku minutami przebywał rzekomo w oddalonej stąd o kilkadziesiąt kilometrów Łodzi, i sekretarz, nie przyjmujący dziś interesantów. Pierwszy strząsał ze spodni niewidzialne pyłki kurzu, drugi zdmuchiwał z klap marynarki popiół papierosa. Obaj byli niezmiernie zaskoczeni moim nagłym najściem. Ale kiedy wyjaśniłem im cel przyjazdu, twarze oblekli w wyraz szczęścia, jakiego doznają ludzie, gdy mogą dosiąść swego konika.

Uchwałę Rządu i Rady Państwa w sprawie skarg zażaleń, interwencji oraz krytyki prasowej znają na wylot. Obaj rozumieją jej doniosłość i chcieliby realizować ją w całej pełni. Cóż, kiedy u nich żadnych skarg nie ma. Nie ma skarg, nie ma zażaleń, nie ma listów z interwencjami. Nawet im się to trochę dziwne wydaje, że ludzie nie odczuwają żadnych braków. Czyżbyśmy tak dobrze pracowali?

Podobno w innych powiatach, sytuacja przedstawia się gorzej. Doszły już do nich słuchy, że niektóre Powiatowe Rady Narodowe puchną od skarg i petycji robotników i chłopów. Nawet musiano powołać specjalne referaty, które od rana do nocy rozpatrują i interweniują. Ale u nich w powiecie jest na odwrót. Nie ma potrzeb, więc będzie można planowo inwestować, planowo „nasycać" teren urządzeniami gospodarczymi i społecznymi, bez żadnych wyskoków, ekstrawagancji. Nie ma skarg, więc uniknięto przerostów personalnych, bo cały referat mieści się w cienkiej teczce zamkniętej na klucz w biurku kierownika wydziału ogólnego.

— A czy byłoby niedyskrecją — rzekłem — zapoznać się z jej zawartością.

Okazało się, że można. W poszukiwaniu kierownika, który klucz od biurka trzymał w kieszeni, a wyszedł gdzieś przed godziną „tylko na jeden moment", rozpoczęto mnie przerzucać z referatu do referatu, z wydziału do wydziału, z piętra na piętro. Przy tej sposobności przypomniała mi się przedwojenna anegdotka o pewnym burmistrzu, który wyniósł się po cichu z magistratu na piwo, unosząc w kieszeni klucz od ubikacji.

Zobaczyłem wreszcie pierwszą skargę wniesioną do teczki kierownika wydziału ogólnego, nie licząc trzech wycinków prasowych, z których dwa wynosiły pod niebiosa gromady Zagórzyce i Górę Bałdrzychowską za wykonanie planu skupu zboża, trzeci zaś w oględny dość sposób krytykował działalność miejscowej komisji zdrowia.

Sekretarz prezydium przystąpił do odczytania mi dwóch pierwszych wycinków. Uszanowałem jego wymowę, rozumiejąc, że były one najważniejszym wydarzeniem w jego życiu, całą jego reputacją, jego chwałą. Natomiast wycinek z „Głosu Robotniczego" określił jako kalumnię złą i niesprawiedliwą, zniekształcającą rzeczywistość. A poza tym nie można nikomu dogodzić. Jak więcej uwagi komisja zdrowia poświęci stanowi sanitarnemu miasta, to zaraz odzywa się w prasie spec od powszechnych zakładów lecznictwa pracowniczego, że tak ważne zagadnienie bytowe nie znajduje w pracy komisji dostatecznego odzwierciedlenia. Tymczasem komisja robi się coraz bardziej podobna do krótkiej kołdry — jak w jedną stronę podciągniesz, zaraz z drugiej coś wystaje nieokryte.

Nic więc dziwnego, że biorąc pod uwagę te wszystkie trudności, sekretarz prezydium protestuje i skarży się na skargę o rzekomo złej pracy komisji, której on tyle poświęca czasu. Ale na szczęście komisja zdrowia jest już na tropie autora noty. W sprawie tej wysłano nawet zażalenie do Wojewódzkiej Rady Narodowej. Jednym słowem skarga na skargę.

— A czy Gminne Rady Narodowe — spytałem — realizują w terenie uchwały Rządu i Rady Ministrów?

Sekretarz rozłożył bezradnie ramiona.

To samo pytanie, postawione w gabinecie sekretarza prezydium, powtórzyłem za chwilę w Komitecie Powiatowym PZPR. Tow. Raźniewska spojrzała na mnie z ukosa. A wy myślicie, że nie? Dlaczego? Przecież uchwała jest tylko usankcjonowaniem rzeczywistości. To rzeczywistość powołuje do życia dekrety, a nie odwrotnie. Aby spotkać się oko w oko z poszukiwaną przez Was problematyką, wystarczy udać się do pierwszej lepszej gminy, na ślepo, bez żadnego „typowania".

*

Wybrałem więc gminę Tkaczew, była najbliżej. Zatrzymałem się w pierwszej wsi Solcy, opodal budynku szkolnego, aby pytać o dalszą drogę. W mig otoczyła nas dzieciarnia zawsze skora do figli i psot.

— Pewnie przyjechał pan zobaczyć nasz nowy budynek szkolny? — upewniał się jeden z chłopców.

— Budujecie szkołę? — spytałem.

— Nie, remontujemy...

Wprowadzono mnie do wnętrza piętrowego budynku, graniczącego bezpośrednio z ogrodem szkolnym. Był to obszerny, murowany dom, o pięciu widnych izbach. W budynku uwijali się murarze i cieśle. Zakładano nowe okna, reperowano podłogi, tynkowano ściany. Kiedy okazałem zdziwienie, że dopiero teraz, w zimie, pomyślano o remoncie budynku szkolnego jeden z pracujących tu chłopów odparł z przekąsem:

— Wam to się może zdaje dziwne, a myśmy tu całą wojnę stoczyli o ten budynek. Za łby się wodzilim z kułakami. To nie było takie proste...

I rzeczywiście sprawa szkoły w Solcy była najpoważniejszą bolączką gromady i okolicznych wiosek. Budynek szkolny niby był, ale dwie izby nie mogły w żaden sposób pomieścić 120 dzieci, uczęszczających do siedmiu klas. Nauka więc odbywała się na dwie zmiany: przedpołudniem i popołudniu, nieraz do późnych godzin wieczornych. Natrafiano przy tym na olbrzymie trudności, bo Solca nie jest zelektryfikowana. Teraz, w okresie zimy, trzeba było starać się o naftę, o lampy. A do tego dziatwa dochodziła niejednokrotnie z odległej o kilka kilometrów wsi. Brnęły więc wieczorami po błocie i słocie do domów, a już w bardzo deszczowe lub śnieżne dni, wcale do szkoły nie przychodziły.

Ostatnio sprawa uruchomienia szkoły w odpowiedniejszym do tego celu budynku stanęła na porządku dziennym Gminnej Rady Narodowej w Tkaczewie. Wnieśli ją przedstawiciele komitetu rodzicielskiego chłopi małorolni Kołodziej i Krupiński oraz nauczyciel Stanisław Michalski.

Wniosek przedłożony Gminnej Radzie brzmiał:

„Na terenie gromady Solca znajduje się 5-cio izbowy, niezamieszkały przez nikogo budynek, a należący do ob. Zawady. Mieszkańcy gromady proponują, by budynek ten został odnajęty dla potrzeb szkoły, tym bardziej, że ob. Zawada, miejscowy bogacz, posiada w tej samej wsi obszerne zabudowania gospodarkie. Nie korzysta natomiast z budynku, w którym szkoła mogłaby znaleźć wygodne pomieszczenie".

Gminna Rada Narodowa zarządziła w Solcy zebranie koła rodzicielskiego oraz zainteresowanych sprawą szkoły rodziców dzieci, na które zaproszono także kułaka Zawadę.

Wnosząc swoją petycję do Rady żaden z mało- i średniorolnych nie przypuszczał, że sprawa budynku szkolnego odkryje prawdziwe oblicze bogacza Zawady. Bo Zawada cieszył się wśród mieszkańców wsi opinią „dobrego kułaka". Czytał mszalik jak jaki ksiądz i chodził regularnie na wszystkie nabożeństwa. Dobrą opinią cieszył się również Jagodziński. Gdy trzeba było — oddawali obaj swoje konie w pomoc sąsiedzką, gdy już inaczej nie szło — wieźli zboże do gminnej spółdzielni. A po reformie walutowej tak się zapłakiwali, tak tłukli głowami o matkę-ziemię, że co litościwsi, a mało uświadomieni chłopi, pobiegli im pożyczać nowych pieniędzy. I chociaż w dwa tygodnie później Zawada wraz z synami wrócił z Łodzi w nowych garniturach, a Jagodziński sprawił córeczce pelisę — nikt na to jakoś nie zwrócił uwagi.

Zebranie miało charakter burzliwy. Zawada z miejsca zaprotestował przeciw wysuniętej propozycji odnajęcia pustego budynku. Jak to? On bogaty chłop, nie może mieć domu, w którym nikt nie mieszka? A zresztą teraz dom stoi pusty, ale z czasem będzie mu potrzebny, bo żeni dwóch synów. Jeden z nich miałby objąć w posiadanie 6 ha ojcowizny, drugi z wiana nieboszczki matki 7 ha, a stary gospodarzyłby na pozostałych pięciu hektarach, dokupionych zaraz po wojnie. W ten sposób Zawada chciał się „przemycić" do chłopów średniorolnych?

Żadne argumenty nie przekonały Zawady — trwał przy swoim. A co mi tam cudze dzieciaki — mówił. Poparł Zawadę bogaty chłop Jagodziński. I ten usiłował argumentować, że dzieci mogą z powodzeniem uczyć się wieczorami w szkole, a trochę kataru nikogo jeszcze do grobu nie wpędziło...

Wystąpienie Jagodzińskiego wywołało burzę. Podniósł się z pięściami Kołodziej, rozgadali się inni.

— Kto tu występuje przeciw szkole? Kto nie chce by nasze dzieci uczyły się za dnia?

Zawada jeszcze próbował oponować, „bo to wiecie obywatele, nie mam gdzie bydła postawić, a już tak sobie umyśliłem, coby właśnie w tym budynku było najlepiej".

W Gminnej Radzie Narodowej Fot. K. Jarochowski

Wypowiedź Zawady, że zamierza wprowadzić do budynku — wymagającego niewielkiego remontu — krowy, wywołała ogromne oburzenie. Podjęto uchwałę, że dotychczas bezużytecznie stojący budynek zostanie wynajęty na potrzeby szkoły. Teraz, kiedy wyszło „szydło z worka" i ukazało się właściwe oblicze kułaka, zaczęto sobie to i owo przypominać. Przy okazji przypomniano sobie i o pozostałych kułakach. Nie długo namyślali się już potem chłopi małorolni Kurek, Murawański, Gozdecki, Malinowska i Janina Pięta oraz średniacy Olejnik, Przybylak i Maria Kołodziej ze wsi Prądzice, składając w Prezydium Gminnej Rady Narodowej w Tkaczewie skargę na bogacza Gomańskiego, który swym wrogim postępowaniem uniemożliwił gromadzie wykonanie w 100% planu skupu zboża.

„Bogacz Gomański — pisali oni — ukrywa w stertach słomy duże zapasy zboża. Trójkę gromadzką obrzucił wyzwiskami, a na Kurka podniósł widły. Bezczelna to jucha ten kułak. Porządek z nim trza zrobić. Prosimy więc Radę o interwencję, bo taki to szkodzi interesom państwa — interesom naszym, chłopów mało i średniorolnych".

Prezydium GRN przychyliło się do żądania chłopów, aby dokonać u Gomańskiego przymusowego omłotu zboża. Po młocarnię do ośrodka maszynowego w Różycach udali się skwapliwie swymi końmi średniacy: Andrzej Kmiecik i Konstanty Graczyk. I tu dopieroż cała historia! Któż by bowiem przypuszczał, że obaj są poplecznikami Gomańskiego? Za literek wódki tak zręcznie manewrowali maszyną, aż ją wprowadzili w grząską ziemię. Młocarnia zaryła się po osie w rozmiękłej ziemi. Unieruchomiono ją tutaj na długo.

Może by nawet do wiosny liczył kułak Gomański, który w tym samym czasie przy pomocy całej rodzinki opróżniał swoją stodołę, wywożąc snopy pszenicy i żyta daleko w pole do opuszczonej szopy. Ale spóźniona o całe dwadzieścia cztery godziny młocarnia zajechała na jego podwórko.

— Nic z tego — szydził Gomański. — Przez rozmiękłą rolę do szopy nie dojedzieta. I w osiem koni nie da rady, co tam w osiem — dwanaście nawet nie uciągnie...

Ale zrzedła mu mina kiedy kilkudziesięciu chłopów i kobiet zakrzątnęło się po wsi i zaczęło znosić różnej wielkości deski. Przy tej okazji poleciał w strzępy płot Gomańskiego.

— Zapłacita nam za te deski — wrzeszczała jego babka, która jeszcze przed chwilą pokazywała chłopom „figę z makiem". — Ta święta ziemia was pochłonie, bezbożniki...

Ale „święta ziemia" nie pochłonęła ni młocarni, ani ludzi, bo po ułożonych deskach, jak po szynach dotarto z triumfem do szopy. Pomimo protestów Gomańskiego, młocka odbyła się bez zakłóceń. Ogółem wymłócono 88 kwintali zboża, z czego 18,5 q przekazano na pokrycie zaległości w podatku gruntowym, którego „biedny" Gomański „nie miał czym opłacić", 18 q sprzedano gminnej spółdzielni — resztę zaś, po wyliczeniu kosztów za wypożyczenie młocarni i koni, zostawiono do dyspozycji bogacza.

I tak mu jeszcze za wiele zostawili — stwierdził przewodniczący prezydium GRN Antoni Prus, który referował mi zagadnienie elektryfikacji wsi Skromna, Różyce i Solca. Wiele by pewnie upłynęło czasu, zanim by w chałupach chłopskich zabłysło światło. Ale małorolni Marszałek, Olczak, Ryk, Matusiak i Kowalski wystąpili z inicjatywą wybudowania linii niskiego napięcia sposobem gospodarczym. Pomiarów dokonają fachowcy, a wieś postawi słupy i przy pomocy pracowników miejscowej poczty założy przewody. Nic więc nie stoi na przeszkodzie, aby na wiosnę przystąpić do dzieła. A jak będzie już elektryczność, to w projekcie jest radiofonizacja i stałe kino wiejskie.

*

Tak więc w oddalonym raptem o kilka kilometrów od miasta powiatowego, a mimo to dotychczas zabitym deskami Tkaczewie, rośnie niezachwiana wiara chłopstwa pracującego we własne siły, we własne zdolności rządzenia. Tutaj ustawa Rządu i Rady Państwa znalazła żywy oddźwięk, o czym świadczą również liczne indywidualne sprawy wnoszone przez chłopów, a wysłuchiwane i zaspakajane przez Gminną Radę Narodową. Nie ma tutaj bolączek mniej i więcej ważnych. Skrzywdzona przez męża-pijaka żona znajduje w takim stopniu oparciew Radzie, w jakim znalazł je komitet rodzicielski ze Solca, który bił się z kułakiem o najistotniejsze potrzeby dziatwy szkolnej. Nie odmówiła Rada pomocy trójce gromadzkiej, zelżonej przez bogacza Gomańskiego, nie odszedł z niczym biedniak Władysław Olczak, któremu zabrakło pieniędzy na zdrenowanie 2-hektarowego pola.

— Do was szybciej dotarła uchwała Rządu i Rady Państwa niż do powiatu — rzekłem. — W jaki sposób zapoznaliście z nią tak szybko mieszkańców gminy?

Na te słowa twarz przewodniczącego oblekła się purpurą.

Okazało się, że przewodniczący prezydium GRN i członkowie Rady jakkolwiek wiedzieli o uchwaleniu dekretu ale na „rozporządzenia" w dół czekali z góry od powiatu. Bo u nich, załatwianie skarg i zażaleń to już codzienna robota. U nich mas ludowych nie trzeba budzić dekretem.

— Ale trzeba je wesprzeć dekretem!

Wojciech Drygas

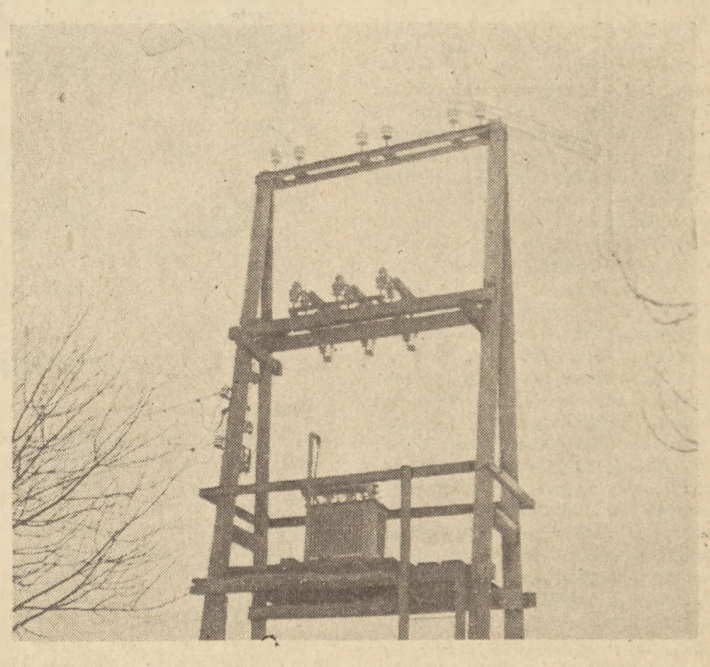

Będzie światło w Solcy, Różycy i Skromnej. Fot. T. Szewera

Na polu bogacza Fot. T. Szewera

Konstanty Simonow tłum. Jerzy Ficowski

TYGRYS

Dziś przypomniałem sobie San-Francisco
I na dwudziestym pierwszym piętrze gości.
I kartkę, którą ktoś do rąk mi wcisnął:
Żebym z sąsiadem miał się na baczności.

Sąsiad — właściciel trzech gazet tutejszych —
Tygrysem był, co tułów swój w pasiasty
Wepchnął garnitur z ostrej, rudej sierści.
Ale raz po raz w pogawędce wił się,
Wyłaził nagle wyczyszczonym pastą
Swoim zębatym uśmiechem tygrysim
I grubą łapą w sierści złoto-burej,
Opiłowaną u pięciu pazurów.
Rozmowa była długa i najprostsza,
Lecz z boku komuś przypomniała może
Zamkniętą szczelnie paczkę pełną ostrzy,
W której do czasu owija się noże.

Więc poprzestawał wytrwale czas cały
Na słówkach grzecznych i krętych zarazem,
Lecz nie łagodny był, ale się czaił
Do dzikich skoków w gęstwinie swych gazet.
Po to przyczołgał się na miękkich łapach,
Czerwony kolor już zwęszył, krwi zapach!

I chociaż chyłkiem, kocim kołowaniem,
Rozmowa przeszła każdy kąt do koła,
W twardym milczeniu wstaliśmy od stołu,
Tak jak usiedliśmy przy nim — wrogami.

Aż dziś, po roku, nie wiem z jakich przyczyn
Wspomniałem bankiet, nie ciekawy w niczym, —
Czy nie dlatego, że przed tym spotkaniem
Widziałem jeszcze ostatnie przemiany
Tygrysich losów przed sądami świata,
Gdy wyleniały, niby za pogrzebem
Właził za kraty zły tygrys nie jeden
I szkło ampułki w swych zębach rozgniatał?
Lecz on był inny, młody i zuchwały.
I oni byli tacy sami wszyscy,
Gdy własną ręką Reichstag podpalali
I Dymitrowa oskarżali w Lipsku.

Pali się, pali w Ameryce Reichstag,
Idzie mój sąsiad z żagwią wraz z innymi,
A kiedy pożar się wzmaga, — urasta
I coraz częściej słychać jego imię.
Kiedy nie szczędząc żadnego zbrodniarza,
Lud zdać rachunek każe swoim wrogom,
Gdy mi dawnego sąsiada pokażą,
Powiem: pamiętam dobrze jego młodość!

STANISŁAW CIEŚLAK

BILANS ROKU 1950

(wnioski które trzeba wyciągnąć)

Dokonane już zostało podsumowanie zwycięskich osiągnięć roku 1950. W wyniku skrupulatnych i żmudnych obliczeń PKPG okazało się, że produkcja przemysłowa Polski wzrosła nie o 20 proc. (jak przewidywał plan) ale o 30,8 proc. w porównaniu z r. 1949. Osiem procent więcej, czyż warto o tym tak wiele mówić? Otóż bardzo warto. Taki jeden procencik — to prawie 170 milionów złotych przedwojennych, a osiem procent to sześć razy tyle, ile wynosiły wszystkie dochody budżetowe państwa polskiego w r. 1938 przed wojną! Dzięki takiemu wielkiemu wzrostowi produkcji przemysłowej osiągnęliśmy w r. 1950 poziom produkcji przemysłowej na głowę ludności *trzykrotnie* wyższy niż przed wojną.

Wzrost produkcji rolnej w roku 1950 wyniósł nie 6,4 proc. (jak przewidywał plan) a 13 proc. Te siedem procent nadwyżki warte jest co najmniej 400 milionów złotych przedwojennych. Mamy więc dziś około 130 tys. sztuk bydła, około 150 tys. sztuk koni, około 2 miliony sztuk trzody chlewnej, więcej niż w roku 1949, a ziemiopłodów wszystkich zebraliśmy z pól naszych conajmniej o 5 milionów ton więcej niż w roku 1949.

Pociąg towarowy złożony z wagonów 20-tonowych, użyty dla pomieszczenia tych ziemiopłodów, zająłby przestrzeń między Paryżem a Moskwą. Cały zaś nasz dochód narodowy wzrósł nie o 15,2 proc. (jak przewidywał plan) a o 21 proc. to znaczy był o przeszło połowę większy od dochodu narodowego Polski przedwojennej. To znaczy, że dziś około 25 milionom Polaków wystarczy 12 miesięcy czasu na wyprodukowanie takiej ilości towarów i usług materialnych, na której wyprodukowanie przez 32 milionów mieszkańców państwo polskie potrzebowało 20 miesięcy czasu.

Nad takim wspaniałym, burzliwym iście bolszewickim tempem rozwoju produkcji jak można przejść do porządku dziennego. Trzeba go poddać szczegółowej analizie.

Wyśledźmy więc i zbadajmy tajemnicę naszego zwycięstwa. Nie sztuka — mówią niektórzy, było to osiągnąć, bo plan był zaniżony, nietrudny do przekroczenia. W odpowiedzi na to przypomnijmy sobie, że roczny przyrost np. produkcji przemysłowej w Stanach Zjednoczonych w okresie ich najsilniejszego rozwoju przemysłu nie przekraczał 7 proc, w Anglii 2 proc, w Niemczech 4 proc, w Związku Radzieckim (w czasie pierwszej stalinowskiej pięciolatki) 22 proc. Czy można więc plan na rok 1950 nazwać zaniżonym i nietrudnym planem w kraju tak zacofanym przed wojną, tak zniszczonym przez wojnę jak Polska? Nie można.

Plan na rok 1950 był planem trudnym, realizowany był w wielkim napięciu, w ostrej walce klasowej; miał wiele dramatycznych momentów, jak skup zboża, jak walka o nowe normy w przemyśle, jak wielka bitwa o wyniki pracy PGR, jak bój o osiągnięcie 2.200 spółdzielni produkcyjnych, czyli o uspółdzielczenie co 19-tej wsi w Polsce. I dlatego, że plan był trudny, napięty na wszystkich odcinkach, mógł on masy pracujące zmobilizować do walki o jego przekroczenie.

I to jest pierwsza tajemnica naszego zwycięstwa.

Drugą, był masowy rozwój w naszym kraju wielkiego ruchu obrońców pokoju. Kiedy Partia rzuciła hasło mobilizacji całego narodu i jego mas pracujących do walki o pokój znaleźli się sceptycy, którzy mówili; po co? Wiadomo: Cóż z tego, że my w Polsce wojny nie chcemy? Ale nie wystarczy nie chcieć wojny, trzeba narzucić pokój. I kiedy na zachodzie Europy, i w Stanach Zjednoczonych wielu robotnikom, chłopom pod wpływem propagandy podżegaczy wojennych opadają ręce (bo czyż warto pracować, jeśli wojna jest nieunikniona), to w ZSRR, w Polsce i w krajach demokracji ludowej ludzie myślą zupełnie inaczej; trzeba i warto pracować, trzeba pracować lepiej niż dotąd, bo tylko praca nasza zabezpiecza naszym ojczyznom i światu całemu pokój. A to jest zasługą ruchu obrońców pokoju, który ze wsi i z miast wydobył nowe siły społeczne, dotychczas drzemiące bezużytecznie i użył je w służbie narodu i ludzkości.

Trzecią tajemnicą naszych sukcesów było umocnienie się i pogłębienie w roku 1950 przodowniczej roli Partii i okrzepnięcie sojuszu robotniczo-chłopskiego, podstawy politycznej działania Partii na wsi. Nie łatwa jest dziś rola podstawowej organizacji partyjnej, nie lekka praca Gminnego czy Powiatowego Komitetu Partii, które obejmują zakresem swojej pracy dzisiaj już prawie wszystkie bez wyjątku sprawy swego terenu. Ale widać wyraźnie, że ten trud bohaterskiej klasy robotniczej i Partii nie poszedł na marne. Niewątpliwą zasługą bowiem Partii, która w coraz ściślejszym sojuszu z Z. S. L., w coraz bliższej i coraz serdeczniejszej łączności z szerokimi masami bezpartyjnych walczy o zbudowanie podstaw socjalizmu — jest tak wysokie przekroczenie zadań planu na rok 1950.

W swej pracy i walce w roku 1950, nie byliśmy sami. O to samo, co my, walczyło w 1950 roku 800 milionów ludzi w Związku Radzieckim, Chinach, krajach demokracji ludowej i nie wiele mniej ludzi pracy w krajach kapitalistycznych. Narastające poczucie międzynarodowej solidarności wszystkich ludzi pracy niepomiernie zwiększyło możliwości rozwoju, a cenny przykład, przyjaźń i braterska pomoc Partii Lenina — Stalina i ludzi radzieckich dopomogła nam w przezwyciężeniu wielu, wydawałoby się nieraz, że nie do pokonania, trudności.

I to jest czwarta tajemnica naszego zwycięstwa.

I właśnie dlatego, że plan na rok 1950 był planem trudnym i mobilizującym, że w roku 1950 wzmogła się niesłychanie walka o pokój, że okrzepła Partia i umocniła się i pogłębiło jej kierownictwo życiem narodu, że śmielej i więcej niż w roku zeszłym korzystaliśmy z cennych doświadczeń i braterskiej pomocy Kraju Rad, ojczyzny socjalizmu — właśnie dlatego mogły wyrosnąć nowe siły społeczne, nowi ludzie, nowe metody pracy, ujawniły się nowe ukryte dotychczas a wielkie rezerwy w naszej gospodarce, co rzecz jasna, nie mogło się nie odbić na procentach wykonania planu.

Od działaczy jednak terenowych, od całego aktywu politycznego, pracującego na wsi i w mieście, a przede wszystkim od pisarzy i korespondentów robotniczych i chłopskich można oczekiwać w związku z przedterminowym i ponadplanowym wykonaniem trudnych zadań pierwszego roku Planu 6-letniego czegoś więcej.

Chodzi o to, aby w każdym terenie zbadać, *jakie to nowe siły społeczne i jacy to nowi ludzie* wyrośli w ciągu zeszłego roku, *jakie rezerwy* i w jaki sposób uruchomiono w swojej gromadzie, gminie, powiecie dla wykonania i przekroczenia planu na rok 1950?

Aby ten obraz otrzymać, trzeba sobie (i czytelnikom) odpowiedzieć na pytanie. Jak mój teren pracy: zakład przemysłowy, spółdzielnia produkcyjna, wieś, gromada, gmina, powiat — wygląda na tle ogólnego planu czy szliśmy w ogonie, czy na przedzie, czy osiągnęliśmy wyniki wyższe, czy niższe od przeciętnych kraju, i dlaczego niższe, czy wyższe?

Weźmy dziedzinę rolnictwa. Czy w mojej gminie i w moim powiecie rzeczywiście co 19 wieś przeszła na spółdzielczy sposób gospodarowania na roli, czy w moim terenie ludzie są inni niż w powiecie Drawsko w woj. szczecińskim, gdzie dziś w każdej gromadzie jest już spółdzielnia produkcyjna?

Weźmy do ręki komunikat PKPG, i punkt po punkcie w odniesieniu do naszego terenu przeanalizujmy jego rozdział III: wzrost produkcji rolnej, zmianę struktury zasiewów, wyniki pracy PGR, plony z ha, wzrost pogłowia, zaopatrzenie w nawozy sztuczne, wyniki kontraktacji itp.

Dopiero wtedy będziemy mogli sobie odpowiedzieć na zasadnicze pytania: czy nadążamy za burzliwym nurtem przemian politycznych i gospodarczych, czy pozostajemy w tyle?

I dopiero po takiej analizie, po ustaleniu przyczyn sukcesów lub niedociągnięć można przystąpić do ustalenia w terenie planu na rok 1951. Bo taka analiza stworzy dopiero podstawę do oceny ruchu pokoju, działalności Partii, ZSL, ZSCh, ZMP, ujawni stosunek do doświadczeń i osiągnięć radzieckich pozwoli na sumienną analizę *faktycznie uruchomionych* w moim terenie sił społecznych i rezerw gospodarczych, więc pozwoli się przygotować do dalszego opracowania i wykonania nowego planu na rok 1951.

„Tylko przez powiązanie naszych zadań gospodarczych z zadaniami politycznymi — pisał B. Bierut w art. *„Polska na drodze budownictwa socjalistycznego"* — wzrastać będzie w masach pracujących wola wykonania planu. Trzeba walczyć z tymi, którzy tego nie rozumieją, którzy zbyt często tracą z pola widzenia ten najbardziej istotny fakt, że plan produkcji — to żywa i praktyczna działalność milionów ludzi, którzy pragną tworzyć i tworzą nowe życie. Niewybaczalną ślepotę taką ujawniają ciasni i ograniczeni praktycy, papierkowi biurokraci, którzy poza suchą cyfrą często nie widzą żywego człowieka, nie umieją wczuć się w jego troski i jego społeczne potrzeby i myśli, nie doceniają siły rzeczywistego dążenia mas do walki o urzeczywistnienie socjalizmu".

Stanisław Cieślak

TADEUSZ ORLEWICZ

VIETNAM — KRAJ WALCZĄCEJ AZJI

Na mapie świata goreją zwycięskim, jaskrawym blaskiem coraz potężniejsze ogniska walk wyzwoleńczych ludów kolonialnych i półkolonialnych. Rozpaliła je odwieczna krzywda, przykład Wielkiej Rewolucji Październikowej, przebudzenie się pod jej wpływem proletariatu w tych krajach i objęcie przez niego hegemonii w rewolucji.

Walki rewolucyjne w krajach azjatyckich — to cios za ciosem w samo niemal serce skomplikowanego mechanizmu imperialistycznego. Właśnie tam, w koloniach i krajach półkolonialnych, państwa kapitalistyczne znalazły pole do nieograniczonego wyzysku ludzi i rabunku nieprzebranych bogactw naturalnych.

Chiny, kraj 475 milionów, kraj, który w obliczeniach agresywnego imperializmu odgrywał nietylko rolę szerokiej bazy strategicznej, ale miał być i był przez wiele lat chłonnym i wygodnym rynkiem zbytu różnej tandety, był potężnym rezerwuarem taniej siły roboczej, był terenem, na którym kapitał finansowy rozprzestrzeniał swoje drapieżne władanie. Lud chiński pod przewodem partii komunistycznej na zawsze przepędził rodzimych i obcych wyzyskiwaczy. Wielkie Chiny odpadły ostatecznie i nieodwołalnie z kręgu kapitalistycznego rozboju. Dziś lud chiński buduje nowy ład, ład ludowo-demokratyczny bez kapitalistów, bez obszarników, bez „opiekunów" z za Oceanu. Zwycięstwo wolności i postępu w Chinach było obok Wielkiej Rewolucji Socjalistycznej i obok rozgromienia hitleryzmu przez bohaterską Armię Radziecką decydującym o losach świata punktem przełomowym w ostatnim półwieczu. Skutki tego fatku zaważyły bezpośrednio i pośrednio w sposób decydujący na dalszym kształtowaniu się wypadków na ogromnym kontynencie azjatyckim.

Malaje — to główny światowy dostawca kauczuku i cyny. Kraj ten dostarczał jego angielskim władcom olbrzymiej ilości dewiz, zapewniając im do niedawna supremację w świecie kapitalistycznym. Dziś Malaje stoją w ogniu walk narodowo-wyzwoleńczych. Ekspedycyjne korpusy wojsk brytyjskich toczą wyniszczające walki z potężnym ruchem partyzanckim. Miliony funtów sterlingów poświęca rząd labourzystowski na wydatki wojenne. Walka trwa, obezwładniając życie gospodarcze tego bogatego kraju, którego ludność w potwornych warunkach, pod batem kolonialnych władców i miejscowych kacyków przysparzała dotąd astronomicznych zysków magnatom londyńskim. Dziś zyski te stanęły pod wielkim znakiem zapytania, a niedalekie jutro pokaże, że pomimo wielotysięcznych korpusów ekspedycyjnych kauczuk malajski i cyna malajska przestaną służyć na zawsze imperialistom.

Korea, barbarzyńsko niszczona przez amerykańskiego agresora, to ważna baza strategiczna dla imperialistycznych knowań, najpierw japońskich a obecnie amerykańskich. To jednocześnie kraj, w którym złoto, miedź, wolfram, bauksyt, węgiel i ruda żelazna stanowią bogactwo nie do pogardzenia. Bohaterski lud Korei pod przewodem swego proletariatu przepędza skutecznie ze swojej ziemi imperialistycznych napastników, którzy ubrali się w znaki ONZ, a czynami swymi przerastają najbardziej wyrafinowane metody zwyrodniałych hitlerowców. I znowu nowy kraj wypada z kręgu kapitalistycznego wyzysku.

Policja francuska w walce z demonstrantami w Saigonie Foto — API

Oto Indonezja, zrywająca się do walki przeciwko władcom kolonialnym i ich rodzimym marionetkom. Kraj bogatych pokładów naftowych, wielkich pól kauczukowych. Holendrzy w spółce przymusowej z Amerykanami próbują bezskutecznie za parawanem Stanów Zjednoczonych Indonezji prowadzić swój grabieżczy interes. I tu usuwa się im grunt z pod nóg. Gniew ludu zaraża wojska rządowe, których bunty przeciwko polityce grabieży i rozboju są na porządku dziennym.

Oto Filipiny, pozostające w amerykańskim władaniu z fikcją niepodległości, wyspy o poważnym znaczeniu strategicznym i dużych zasobach miedzi, złota i węgla. Tu także ruch rewolucyjny, mający za sobą podobnie jak w innych krajach azjatyckich piękne tradycje walk z japońskim najeźdźcą, wyważa od wewnątrz kraty, zaciągnięte nad narodem przez waszyngtońskich i nowojorskich monopolistów.

Oto Indie, kraj 370 milionów ludzi, kraj legendarnych bogactw nielicznej garstki i przerażającej nędzy milionów, kraj niesamowitych dysproporcji, w którym narastają siły rewolucyjne wśród proletariatu fabrycznego i wśród pracującego chłopstwa. Oto Japonia, w której imperializm amerykański restauruje militaryzm i faszyzm, a w której jednocześnie mimo terroru i mimo prześladowań krzepnie proletariat, walczący o wolność od obcych i rodzimych ciemiężycieli.

Gdziekolwiek nie spocznie oko na mapie Azji, wszędzie lud podnosi się do walki, walkę tę prowadzi, likwidując władanie kolonialne i usłużnych lokajów imperializmu rekrutujących się spośród miejscowej magnaterii, burżuazji, spośród zdrajców narodu.

Pierre Naville, postępowy dziennikarz francuski, w swojej książce o wojnie w Vietnamie*), podaje wiele bardzo ciekawych szczegółów kulisów brudnej wojny, którą burżuazja francuska od pięciu przeszło lat prowadzi w tym kraju. Książka jest zbiorem artykułów napisanych w okresie od marca 1947 roku do lutego ubiegłego roku. Stanowi ona jednak zwartą całość tym cenniejszą, że rejestrującą niemal na gorąco fakty i sprawy.

Warto sobie przede wszystkim przypomnieć, że Vietnam (Kraj Południa) jest niewiele większy od Polski, a jego ludność liczyła do niedawna około 22 milionów ludzi. W tej liczbie było „aż" 35.000 Francuzów.

*) Pierre Naville. Wojna w Vietnamie. Warszawa, 1950. Wydawnictwo Prasa Wojskowa. Stron 255.

W rolnictwie pracuje 90 proc. ludności kraju. Lasy i plantacje całkowicie, a pozostała ziemia w 2/3 należała do miejscowych obszarników, francuskiego Banku Indochińskiego i potężnych zjednoczeń francuskich plantatorów. Na plantacjach pracowało conajmniej milion robotników. Za niezwykle ciężką, wielogodzinną pracę najczęściej przekraczającą 16 godzin, otrzymują oni płacę dwunastokrotnie niższą niż robotnicy francuscy. Gospodarka chłopska niezwykle rozdrobniona, a wielomilionowa masa chłopska omotona była wyczerpującym systemem pożyczek od różnych spekulantów i lichwiarzy, nie była też pewna ani dnia ani godziny, czy posiadane przez nich od wieków grunty nie staną się własnością miejscowych obszarników lub francuskich plantatorów.

Ziemia była traktowana przez francuskiego najeźdźcę jako ziemia niczyja. Stąd też chłop annamicki, wczoraj jeszcze właściciel własnego kawałka ziemi, budził się następnego dnia jako dzierżawca swojego własnego gruntu, zobowiązany do płacenia francuskiemu Bankowi Indochińskiemu czy jakiemuś Francuzowi czynszu dzierżawnego, dochodzącego bardzo często do 75 proc. ogólnych zbiorów z tego poletka. Mało tego, chłop w Vietnamie stawał wobec faktu, że jego własny wczoraj inwentarz żywy stawał się jutro własnością nowego właściciela, a chłop obowiązany był do pilnowania i żywienia tego inwentarza.

Przemysł w Vietnamie był niezmiernie słabo rozwinięty, chociaż kraj ten ma liczne bogactwa naturalne jak węgiel ,rudę żelazną, fosforyty, cynk, cynę, wolfram. W przede dniu wojny było w Vietnamie około 300.000 robotników wielkoprzemysłowych.

Klasę robotniczą Vietnamu cechowała przede wszystkim niezwykła ruchliwość. Tłumaczy się to niezwykle arbitralnym systemem administracyjnym, niskimi płacami, bestialskim traktowaniem, urągającymi prymitywnym wymogom higieny warunkami pracy. Praca robotnika w Vietnamie połączona była niemal z niewolnictwem. Proletariusz tonkiński i annamicki pochodzenia chłopskiego wolał w nędzy uprawiać rolę niż uginać się pod galerniczym systemem pracy wielkoprzemysłowej, zastosowanym przez francuskich najeźdźców.

Trzeba było oporu, walk i ruchów strajkowych pomiędzy rokiem 1925 i 1940, trzeba było jednoczenia się szeregów robotniczych i pracującego chłopstwa wokół partii komunistycznej, aby wydrzeć kolonialnej administracji pewne ustępstwa. Pod wodzą partii komunistycznej proletariat Vietnamu chociaż słaby liczebnie, chociaż reprezentujący zaledwie niecałe 2 proc. ludności kraju, podejmuje nieustępliwą walkę o wolność od wyzysku imperialistycznego, o wolność od rodzimych i obcych wyzyskiwaczy, o wyzwolenie narodowe i społeczne.

Politykę kulturalną władz francuskich najlepiej ilustruje fakt, że na utrzymanie bibliotek przeznaczały one 30.000 piastrów indochińskich, nota bene emitowanych przez prywatny bank francuski, Bank Indochiński, natomiast, na zakup i rozprowadzenia trucizny, jaką jest opium fajkowe — aż 4 miliony 500 tysięcy piastrów. Przez cały okres francuskiego panowania zbudowano 31 szpitali dla Francuzów i bogatych tubylców, natomiast 81 więzień i obozów koncentracyjnych, w których byli wprawdzie Francuzi lub członkowie miejscowej burżuazji, ale w charakterze dozorców.

W ćwiczebnym obozie powstańczej armii Vietnamu. Foto — API

Niewielu miała kolonialna administracja francuska przyjaciół w narodzie Vietnamskim, nie znalazła też wielu, na których mogłaby się oprzeć. Szumne tyrady reakcyjnej prasy francuskiej o tym, że Francja stoi w Vietnamie na zaufaniu „prawdziwych Vietnamczyków" okazały się znacznie szybciej, niż to oczekiwano, zwykłym oszustwem. Ci „prawdziwi Vietnamczycy" to byli dla burżuazji francuskiej bogaci annamiccy plantatorzy i bardzo nieliczna wielkomiejscowa burżuazja kompradorska. To oparcie było tak mizerne, że dla formowania marionetkowego rządu francuscy kolonizatorzy musieli werbować skompromitowanych kolaboracjonistów japońskich, musieli sięgać po Bao-Daja, znanego ze swoich hulaszczych eskapad w paryskich lokalach nocnych i całkowicie obcego narodowi Vietnamu.

Od dwudziestu pięciu lat kieruje walką ludu vietnamskiego partia komunistyczna. Ruch narodowo - wyzwoleńczy narastał stale, rozwijając się ze szczególną siłą w czasie drugiej wojny światowej. Rząd Petaina i Lavala, rząd uległy Hitlerowi, zgodził się na to, aby Japończycy zajęli w pierwszych latach wojny półwysep Indochiński. Oznaczało to bankructwo panowania francuskich imperialistów. Słabość ich zdecydowała o dalszych losach Vietnamu.

A przecież Indochiny były złotym jabłkiem dla burżuazji francuskiej. Na kolosalne dochody kapitalistów składały się czynsze za ziemię, różne bezpośrednie i pośrednie podatki, rozliczne daniny, rabunek siły roboczej, opierający się na niewiarygodnie niskich płacach i w związku z tym dający bardzo niskie koszty własne. Tanie produkty i towary indochińskie były sprzedawane w krajach azjatyckich i we Francji bardzo drogo, a narastająca marża zysku przypadała monopolistom z nad Sekwany. Jednocześnie Indochiny były wygodnym rynkiem dla zbytu towarów francuskich, były też dostawcą cennych i rzadkich surowców, bardzo poszukiwanych przez przemysł metropolii francuskiej.

Vietnam we władaniu francuskim jest przykładem bezprzykładnego panoszenia się nie tylko administracji kolonialnej, ale prywatnych koncernów i banków, które miały tyle wspólnego z dobrem Francji, co Truman z demokracją. Pod sztandarami francuskimi żerowały różne hieny kapitalistyczne, nadużywając dobrego imienia ludu, który wydał z siebie Thoreza i wielu innych bojowników o postęp i demokrację.

W Vietnamie rządził gubernator francuski z ramienia rządu, oficjalnie miał on do dyspozycji całą administrację kolonialną, policję i wojsko. A jednak całość gospodarki vietnamskiej nie była kontrolowana faktycznie przez niego, ale przez Bank Indochiński z siedzibą w Paryżu, którego akcjonariuszami byli najbardziej wypróbowani w grabieży i rabunku przemysłowcy i bankierzy. Bank ten przy kapitale zakładowym 120 milionów franków dysponował ostatnio majątkiem, ocenianym na 120 miliardów franków. A zatem w ciągu niewielu lat majątek tego banku przewyższył tysiąckrotnie kapitał zakładowy.

Jakimi metodami doszedł do tego? Wystarczy wspomnieć, że Bank ten posiadał wyłączne prawo emitowania krajowych (vietnamskich) pieniędzy (piastrów), że utrzymywał własne wojsko i własną policję, przed którą wielokrotnie musiała ustępować policja gubernatora. Bank ten kontrolowany jedynie przez swoich własnych akcjonariuszy, decydował o cenach i płacach, bez żadnych obiekcji zajmował ziemie chłopskie pod swoje

(dokończenie na str. 7)

HELENA ŻABIKÓWNA

OPOWIADANIA O DNIACH PRZEŁOMU

Władysław Dunarowski

Notatka drukarska ostatniego tomu opowiadań Władysława Dunarowskiego*) wyznacza „datę wykonania" na wrzesień 1949 r. Innych dat zabrakło jednak w książce: dat, określających dokładniej odległy już, jak domyśla się czytelnik, czas powstania poszczególnych pozycji tomu. Bez tych dat trudno bowiem nieraz uświadomić sobie, że zawarte w tomie „Ciężar rąk" opowiadania, niezależnie od uderzających dziś błędów, odegrały w swoim czasie pozytywną rolę, podejmując w pewnej, choć ograniczonej mierze, zadanie zobrazowania przemian, jakie przyniosła wsi polskiej pamiętna wiosna 1945 r.

Podjęcie tego zadania i sugestywne skontrastowanie udręczeń, nędzy, beznadziejności życia chłopów małorolnych i proletariatu wiejskiego w systemie kapitalistycznym z radosnym rozszerzeniem możliwości życiowych, jakie dała biedniakowi już w pierwszych dniach swego istnienia Ojczyzna chłopsko-robotnicza, to niewątpliwe plusy książki Dunarowskiego. Więcej kłopotu sprawia jednak sprawiedliwa ocena poważnych błędów i braków tomu opowiadań.

Nowele te powstawały jeszcze w latach zamętu ideowego w naszej literaturze, w okresie, gdy nie podjęto jeszcze na całym froncie zdecydowanej walki z tradycjami naturalizmu mieszczańskiej literatury 20-lecia, gdy postulaty realizmu socjalistycznego nie zostały jeszcze opanowane przez pisarzy i krytyków. Dlatego też błędy książki należy składać nie tylko na rachunek pisarza, ale i ogólnej sytuacji naszego życia literackiego pierwszych lat powojennych. Niemniej jednak przejść nad nimi do porządku dziennego nie można.

Autor działał niewątpliwie wbrew własnym interesom, decydując się na wydanie zbioru swych dawnych nowel bez próby zneutralizowania ich wymowy ideologicznej żadnym utworem obrazującym dojrzalszy etap przemian wsi w Polsce Ludowej i świadczącym o dojrzalszym i twórczym przemyśleniu postulatów realizmu socjalistycznego przez jego twórcę. W r. 1950 — tj. w roku praktycznego ukazania się tej książki na rynku czytelniczym — była ona już bowiem utworem „historycznym" — ale nie w najlepszym rozumieniu tego słowa.

Tom opowiadań Dunarowskiego zanotował jedynie wstępny, przygotowawczy etap naszej drogi do socjalizmu — o to jednak trudno mieć do autora pretensję. Najzupełniej usprawiedliwione pretensje dotyczą natomiast innych spraw. I tak, by wymienić tylko najpoważniejsze: po pierwsze — autor etap ten ukazał w fałszywym świetle, naruszając poważnie hierarchię ważności przemian i, co równie istotne, nie umiejąc podkreślić tkwiących w nich perspektyw dalszego rozwoju; po drugie — klasowe w założeniu widzenie rzeczywistości nie zostało konsekwentnie przeprowadzone w obrębie wszystkich nowel, często ustępuje ono jakiejś solidarystycznej „chłopskości", na skutek tego nie zdołał Dunarowski właściwie postawić sprawy dworu, czy inteligencji w środowisku wiejskim, naskutek tego tak fałszywie wypadły sprawy okupacji; po trzecie wreszcie, — autor uczynił swych ludzi jedynie biernymi przedmiotami przemian historycznych, nie ukazał ani jednego człowieka, któryby dorósł do przemian, który by był ich aktywnym twórcą — ten poważny błąd, niweczący w dużej mierze typowość bohaterów książki Dunarowskiego, nie tylko pozbawił ją tak podstawowego elementu, jakim jest świadomy, walczący człowiek i jego twórcze działanie, ale też zadecydował o powstaniu poważnej rysy konstrukcyjnej w większości opowiadań tomu.

Tematyka książki Dunarowskiego, będącej zbiorem jedenastu opowiadań, obejmuje okres okupacji i pierwszych lat niepodległości w Polsce Ludowej. Opowiadania te, ułożone w książce chyba zupełnie przypadkowo, mają dać obraz wsi podkarpackiej w latach wielkich, zasadniczych przemian. Poza nielicznymi wyjątkami („Ofiarowanie" obrazujące zacofanie chłopskiego życia w dwudziestoleciu, czy „Góralska pieśń", ukazująca życie wysiedlonego inteligenta na wsi w okresie okupacji) wszystkie dotyczą właściwie jednego, głównego problemu: przeludnienia wsi, beznadziejnej sytuacji materialnej biedoty wiejskiej oraz znaczenia Ziem Zachodnich stwarzających dla owej biedoty zupełnie nowe możliwości uzyskania niezależności ekonomicznej.

Okres okupacji potraktowany jest raczej powierzchownie i nie tyle stanowi w opowiadaniach Dunarowskiego problem ile tło dla problemu, podkreślenie przełomu, jaki stanowiło dla życia biedniackiej wsi przyłączenie Ziem Zachodnich. To bowiem jest dla Dunarowskiego najbardziej istotną, a przynajmniej najbardziej przekonywującą treścią przemian, jakie przynosi Polska Ludowa. Wyzysk parobków i służących, głód ziemi, spotęgowany ciągłym rozdrabnianiem gospodarstw, panowanie kułactwa i upośledzenie biedoty, najbardziej powikłane sprawy osobiste bohaterów— wszystko to daje się rozwiązać odrazu i całkowicie przy pomocy cudownego środka: przesiedlenia, uzyskania gruntu, narzędzi, inwentarza na Zachodzie, Ziemie Odzyskane, które wchłonęły w dużej mierze biedniackie rzesze przeludnionej wsi polskiej, były istotnym bynajmniej jednak nie podstawowym czynnikiem przebudowy naszej wsi. Sama akcja przesiedleńcza mogła być zbawieniem w indywidualnym wypadku, mogła na pewien czas stuszować jaskrawość konfliktów klasowych na wsi — o jej historycznym znaczeniu decydowały jednak niedostrzeżone przez autora — a przynajmniej nie występujące w konstrukcji jego opowiadań „drobiazgi": powstanie władzy ludowej, reforma rolna i likwidacja obszarnictwa, nacjonalizacja przemysłu i początki planowej odbudowy i przebudowy naszej gospodarki, opieka państwa nad chłopstwem pracującym i przykrócenie cugli kułactwu — nadewszystko jednak wielkie perspektywy socjalizmu, perspektywy spółdzielczości produkcyjnej. Karykaturalne przesunięcie propozycji w opowiadaniach Dunarowskiego stwarza ze sprawy Ziem Odzyskanych fantastyczną bajkę z tysiąca i jednej nocy. Są to ziemie mlekiem i miodem płynące, o jakichkolwiek trudnościach nie słyszymy prawie aż do momentu ich przezwyciężenia, gdy minione troski służą już tylko jako kontrast uwydatniający obecny błogostan. To już nie optymizm — lecz powierzchowność widzenia spraw życia i lękliwe wymijanie konfliktów.

Ciasna koncepcja „sprawiedliwości dziejowej" która w metodach działania naśladuje dobrą wróżkę, obdarzając „podstarnego" Kopciuszka — zaharowaną służącą kułacką Wiktę — całym królestwem, („dom ma murowany, pokoje, dywany na podłodze, firany w oknach...") zmusza pisarza do szeregu poważnych niekonsekwencji. Deklaratywnie stawia Dunarowski nie bardzo usprawiedliwioną treścią jego nowel tezę że przesiedlenie wyzwoli psychikę chłopa z przeklętej niewoli „morgów", że pozwoli mu swobodnie decydować o swym losie. „Nareszcie człowiek jest wolny" bo... „na Ziemiach Odzyskanych jest gruntów dosyć". Autor nie dostrzega, że w jego koncepcji ta „wolność" to tylko urlop z więzienia na okres przejściowej „wędrówki ludów". Jeżeli dzieci Ludwika będą naprawdę wolne, to nie dzięki rozległości nadodrzańskiej ziemi obiecanej, a zapewne nic też nie zdołałoby powstrzymać Wikty, nowej pani na dywanach firankach i dwudziestu morgach, od nabycia najbardziej upragnionego sprzętu — służącej na której mogłaby „odbić" sobie lata poniewierki w kułackiej służbie, — gdyby straży nad szczęściem człowieka nie objęły owe niedocenione „drobiazgi" naszej walki o socjalizm.

Ubóstwo elementów nowego życia, dostrzeganych przez pisarza pociąga za sobą ubóstwo treści nowel Dunarowskiego. Problemy powtarzają się wielokrotnie, warianty nie wnoszą w zasadzie nic nowego. Schemat jest najczęściej podobny: bardzo złe warunki materialne biedoty, próby zaradzenia im przez jakieś półśrodki (np. przez odpowiednio skalkulowane małżeństwa z morgami, krową, czy lasem) i wreszcie radykalna zmiana — wyjazd na Ziemie Zachodnie gdzie mogą spokojnie pracować starzy rzemieślnicy („Ciężar rąk) i szczęśliwe małżeństwa kojarzone już nie ze względu na jakość i ilość gruntów („Wikcine sprawy", „Dni oczekiwania", „Życie się zaczyna"). Mimo obfitości realiów ubogi i schematyczny jest też obraz życia chłopskiego w czasie międzywojennym i w czasie okupacji. Chłop Dunarowskiego to zapracowane zwierzę robocze dręczy się, martwi, haruje, pragnie tylko jednego — zapewnienia egzystencji. Najwyraźniej zaznaczone jest to w dwóch opowiadaniach „Za grabiami jest świat" i „Dzień Hanki". Chłopska walka o byt przedstawiona jest w dużej mierze w kategoriach naturalistycznych, pozbawiona wyraźnych akcentów walki klasowej. Autor przeciwstawia wyraźnie grupę bogaczy i biedoty wiejskiej, ale na tym przeciwstawieniu się też wszystko kończy.

Konflikty klasowe wsi nie przybierają nigdy charakteru politycznego. Życie wsi oddzielone jest chińskim murem od jakiegokolwiek rozumienia spraw politycznych. Widać to najwyraźniej w migawkach okupacyjnych. Chłopi biorą aktywny udział w ruchu podziemnym, ale potrzeba określenia charakteru stale anonimowych organizacji konspiracyjnych i oddziałów leśnych nie zmusza nie tylko bohaterów opowiadań, ale co gorsza i samego autora, do wyjścia poza termin „ci z orzełkami". „Benek" — zbuntowany parobek kułacki, słaby projekt na pozytywnego bohatera jest w „jakiejsi" partyzantce, nie różni się jednak w swych obyczajach od bandyty, skoro sprawiedliwość społeczną wymierza sobie, obrabowując dawną gospodynię, a przy okazji zabierając i przyodziewek służącej.

Gospodyni „Benka" nie rozumie sensu zadawania się z „leśnymi", ale nie jest to bynajmniej typowe stanowisko kułackie u Dunarowskiego. W „Góralskiej pieśni" ukrywający się we wsi inteligent na skutek mądrej polityki swego gospodarza-bogacza „dorasta" przecież do roli jego parobka i do udziału w leśnych akcjach spełnianych za życzliwą aprobatą tegoż kułaka.

Tematyka okupacji jest jednak stosunkowo najbardziej jeszcze „upolityczniona". Żadne nici nie prowadzą natomiast od jej spraw do sytuacji wsi po wyzwoleniu, dlatego też tak ubogi jest obraz pierwszych dni Polski Ludowej w tomie Dunarowskiego. Klęska faszyzmu, wyzwolicielska rola Armii Czerwonej, zagłada wyzyskiwaczy, wszystko to są rzeczy niepojęte dla chłopów w koncepcji Dunarowskiego. Wolność bierze się skądś, bo się po prostu wojna kończy, a po wojnie dzieją się rzeczy niesłychane, gdyż gdzieś dają chłopom morgi za darmo. Chłopi Dunarowskiego rozumieją tylko to, a na wszystko inne są zupełnie głusi — nic też dziwnego, że nie dowiedzieliśmy się niczego ani o akcji pierwszych działaczy wiejskich, ani o dywersyjnej robocie kułactwa, że nie usłyszeliśmy ani jednej dyskusji chłopów, usiłujących zdać sobie sprawę z kierunku i wagi wielkiego przewrotu, nie dostrzegliśmy ani jednego konfliktu między perspektywami „nowego" a nawykami tysiącletniej doli chłopskiej — poza fałszywie typizowanym, naciąganym konfliktem Ludwika: „dziewczyna czy krowa". W jednym tylko opowiadaniu „Wesele w Łazach" okazuje się „że życie jest nie tylko na Ziemiach Odzyskanych, ale i w starej wsi coś się zaczyna ruszać. Cóż, kiedy i tu nie pokazał nam autor ani jednego człowieka, który by dorósł do zadań chwili historycznej. Bo „chłopskość" Feliksa i jego kursy buchalteryjne w czasie wojny to stanowczo zbyt mały bagaż ideowy jak na działacza „Samopomocy Chłopskiej".

Poczucie krzywdy klasowej nie doprowadza żadnego z bohaterów Dunarowskiego do zrozumienia konieczności walki i do podjęcia jej w ramach opowiadania, a wyładowuje się tylko w odruchach nienawiści, rozgoryczenia, zazdrości, w marzeniach o osiągnięciu pozycji społecznej gnębicieli. Analogicznie — i postawa chłopów wobec nowej rzeczywistości to zdumienie, niedowierzanie, radość — nigdzie jednak nie świadome współdziałanie, aktywne uczestnictwo w budowaniu nowego życia — przynajmniej nigdzie nie staje się to centralnym, konsekwetnie przeprowadzonym problemem opowiadania. Działanie ludzkie nie jest osią konstrukcyjną utworu, małość, naturalistyczna przeciętność i nietypowość bohaterów nie może skupić uwagi czytelnika na ich marnych konfliktach i nieważnych przełomach duchowych. Dlatego też nieoczekiwana cudowność losu, przynoszącego chłopom podgórskiej wioski Ziemie Odzyskane to właściwy punkt ciężkości niemal każdego z utworów, co musiało się w niezbyt korzystny sposób odbić na ich kompozycji. Przebija to szczególnie w opowiadaniach obejmujących okupację i czasy powojenne. Nie umiejąc pokazać zdecydowanie przemiany wprowadzonych początkowo postaci, autor wplata do opowiadania drugą część, nowe postacie, nowe sprawy w ten sposób starając się przekonywująco uzasadnić zmianę.

Są też w jego opowiadaniach ogromne uproszczenia. Najjaskrawiej widać to w opowiadaniu „Co z ciebie będzie, dziewczyno". Na czterech stronach pomieścił Dunarowski całą historię dziewczyny pasącej krowy, która swoim uporem i pasją do nauki przełamała wszystkie przeszkody jakie miało do pokonania dziecko wiejskie pragnące się uczyć w okresie sanacyjnych rządów. Kompozycyjna niewspółmierność historii przy pasionce i lat wysiłku w zdobywaniu nauki, zbytych kilkoma zdaniami, operetkowy chwyt z nieporozumieniem co do osoby młodej dyrektorki gimnazjum wiejskiego — wszystko to jest uproszczeniem i wielkim zubożeniem poważnego problemu awansu społecznego i nowej funkcji oświaty ludowej.

Przełom na wsi polskiej, jaki chciał pokazać Dunarowski w swoich opowiadaniach, nie został ujęty właściwie, Dunarowski zna wieś, wie dużo o drobnych realiach życia chłopskiego, ale nie potrafił zobrazować najistotniejszych jego problemów. Bardzo sugestywnie maluje ciężkie życie biedoty wiejskiej, przejmująco mówi o ciężarze rąk spracowanych parobków i wyrobników. Opowiadania ukazują wieś od strony spraw gospodarskich, małżeńskich, od strony codziennych kłopotów i trosk. A taka wiedza o wsi nie tylko nie wystarcza, lecz ograniczenie się do niej prowadzić może na manowce naturalistycznego skrzywienia rzeczywistości. Istotny problem wsi współczesnej przeoczył Dunarowski, przeszedł mimo niego. I dlatego obraz życia w jego opowiadaniach jest nie tylko niepełny, ale i fałszywy. Czekamy na nową książkę Dunarowskiego o sprawach nowego życia chłopskiego, która z wyższego etapu rozwoju literatury polskiej ukaże te wielkie perspektywy przyszłości naszej wsi jakich zabrakło w tomie jego starych opowiadań.

Helena Żabikówna

*) Władysław Dunarowski, „Ciężar rąk", Wydawnictwo Ludowe, 1949.

J. Burell — „Naga prawda"

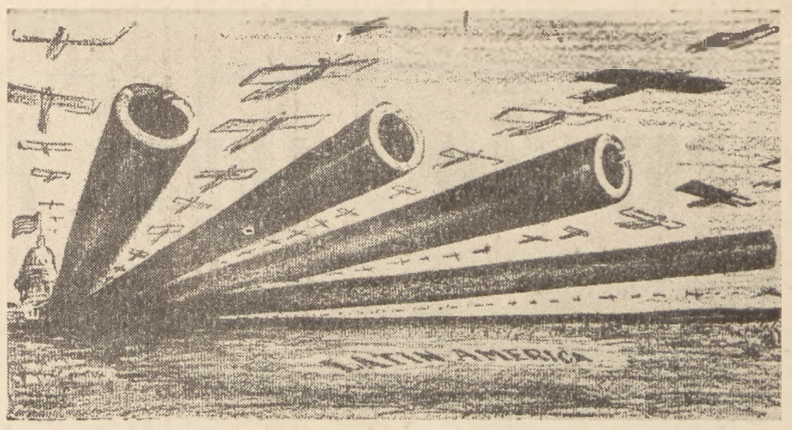

Fred Ellis — „Linie powietrzne"

FRANCISZEK ZAWADA

MAC ARTHUR EUROPY

Do Europy Zachodniej zjechał amerykański namiestnik, łowca głów dla awanturniczej imprezy. Gauleiter Trumana, generał — rektor, D. D. Eisenhover, człowiek mafii imperialistycznej odbył swoją podróż inspekcyjną w szczególnie szybkim tempie. Gdziekolwiek przybył, musiał czym prędzej wyjeżdżać. Krążył przez kilka dni po Europie jak potępieniec, gnany z miejsca na miejsce przez gniew ludu, prawdziwego gospodarza krajów, dławionych przez imperializm amerykański i imperialistów rodzimego chowu.

W Paryżu Eisenhover miał przygotowany hotel „Astoria". W tym właśnie hotelu Wilhelm II chciał zjeść pierwsze śniadanie, kiedy zdawało mu się, że wojna w roku 1914 zakończy się, zanim liście opadną z drzew. W czasie drugiej wojny światowej „Astoria" gościła ówczesnych hitlerowskich gauleiterów Paryża i takich zbrodniarzy wojennych, jak Mannstein, Rundstaedt, Guderian, którzy uwolnieni dziś przez Amerykanów z więzień oczekują na powrót do Francji tym razem w charakterze doradców Eisenhovera do spraw ludobójstwa. Okazuje się więc, że zapewne wbrew intencjom usłużnego rządu francuskiego dobrze został wybrany hotel, w którym miał zamieszkiwać nowy gauleiter spod znaku dolara.

Nie mógł jednak Eisenhover dostatecznie zapoznać się z luksusowymi urządzeniami tego hotelu. Lud francuski tak dobitnie zademonstrował, co myśli o generale — rektorze i jego mocodawcach, że jego pobyt w stolicy nadsekwańskiej ograniczył się do paru zaledwie godzin. Witali go i żegnali żandarmi amerykańscy, uzbrojone po zęby szpalery policji francuskiej, grupka „oficielów" i innych „cywilów", których właściwym zawodem jest po prostu szpiclowanie.

A lud francuski, zwarty w obronie zaprzedanej dolarowi suwerenności, zwarty przeciwko okupacji Francji przez amerykańskie żołdactwo, jednolity w walce o pokój i wyzwolenie kraju spod knowań imperialistycznych, witał wysłannika Trumana strajkami i demonstracjami w Paryżu, w Bordeaux, w La Pallice, wszędzie jak Francja długa i szeroka. Do hotelu „Astoria", do sal konferencyjnych, w których Eisenhover, uderzając pięścią w stół, dyktował swoje żądania sprzedajnemu rządowi i francuskiej klice wojskowej, docierał gniew ludu, rwał rozmowy.

Eisenhover, go home! Precz do Ameryki! Ręce precz od Francji i ludów Europy! Z takim przyjęciem spotkał się Eisenhover i w Paryżu i w Brukseli i w innych stolicach krajów zmarshalizowanych. Musiał się potężnie zmęczyć tym pośpiesznym odwiedzaniem wasalnych rządów, skoro w Londynie zamknął się na cztery spusty. Nie raczył nawet w wyznaczonym dniu przyjąć wysokich dygnitarzy Jego Królewskiej Mości. Pan generał odpoczywał. Ale i tutaj nie zaznał spokoju. Lud Londynu przyjął go podobnie jak lud Paryża czy Brukseli.

W Rzymie usłużny de Gasperi zmobilizował oddziały specjalne, czołgi, karabiny maszynowe, cały aparat terroru. A jednak i we Włoszech na przyjazd Eisenhovera lud podniósł pięść gniewu, zatrzymał produkcję, stanęła komunikacja. Lud wyległ na ulice. Posypały się strzały, oddane w tłumy manifestantów. Zabici i ranni — oto pierwszy sygnał dni, jakie niesie Europie namiestnictwo amerykańskie. Represje rozwścieczonych rządów marshallowskich — oto przedsmak amerykańskiego „stylu życia". Podwyższenie wydatków na zbrojenia — oto dań złożona przez usłużne parlamenty molochowi imperialistycznemu kosztem ludu pracującego miast i wsi. Nowe zwyżki cen w Anglii, we Francji, w Szwecji, wzrost bezrobocia — to następstwa kapitulanctwa narodowego.

Eisenhover kończy swój objazd po Europie wizytami w Niemczech Zachodnich, i powtórną w Paryżu. Zamierzał odwiedzić Papieża, wiernego sprzymierzeńca neofaszystów spod znaku dolara. Rozmawia z uwolnionymi zbrodniarzami, winnymi zbrodni ludobójstwa, projektował rozmowy z faszystowskimi władcami Portugalii, z krwawym Franco. Czuje się z nimi lepiej niż z innymi swoimi wasalami. Ale tu, jak gdzie indziej, lud nie chce rozmawiać z Eisenhoverem. Głos ludu i w Portugalii i w umęczonej Hiszpanii i w oszukiwanych Niemczech Zachodnich jest wszędzie jednaki.

A przecież objęcie namiestnictwa przez generała - rektora było starannie od dawna przygotowywane. Najpierw był plan Marshalla, który miał za zadanie zwalić na kolana przed dolarem życie gospodarcze i polityczne wielu krajów Europy Zachodniej. I zrobił on swoje, niszcząc kraje wasalne. Po tym jak zwykle bywa w zawodzie gangsterskim „dobry" Wuj Sam przystawił swoim europejskim satelitom rewolwer do głowy, wzywając na pomoc ograny straszak „bolszewickiego niebezpieczeństwa". Powstał pakt północno - atlantycki, pakt agresji przeciwko pokojowi i ludzkości. Po tym przyszła konferencja brukselska i runęły resztki suwerenności krajów marshallowskich. Truman dał w swoim wystąpieniu przy ogłaszaniu tzw. pogotowia narodowego szczególnie histeryczną i nerwową oprawę całej imprezie. Zdawało się więc, że nadeszła odpowiednia chwila dla ostatecznego okiełznania Europy Zachodniej przez imperializm amerykański, tym bardziej, że uwolnieni zbrodniarze wojenni spod znaku Hitlera stanęli do dyspozycji podżegaczy wojennych.

Europa Zachodnia otrzymała zatem gauleitera tak bowiem tylko można określić stanowisko Eisenhovera z tytułu uprawnień, jakie otrzymał z woli Waszyngtonu, jako naczelny dowódca atlantydów. Eisenhover wybrał się do Europy, aby przede wszystkim ustalić odpowiednie dla apetytów amerykańskich kontyngenty mięsa armatniego, ponieważ Trumanowi nie podobały się zadeklarowane przez rządy krajów zmarshalizowanych ilości dywizji i pule wydatków na zbrojenia. A tymczasem wizyty Eisenhovera nie tylko nie przyniosły podwyższenia kontyngentów, ale rozwiały resztki złudzeń co do tego, że armia atlantycka pozostała i pozostanie armią cieni, armią bez żołnierzy.

Lud Europy Zachodniej dał zgodną i mocną odpowiedź. Dał tę odpowiedź nie tylko Eisenhoverowi, ale również całej zgrai rodzimych i zaoceanicznych podżegaczy wojennych. Podstawowe rzesze ludzi pracy krajów zmarshalizowanych mają szczególne powody do tego rodzaju odpowiedzi. Na własnej skórze dotkliwie odczuwają „opiekę" amerykańską, „kulturę" amerykańską i amerykański styl życia.

We Francji szereg podstawowych gałęzi przemysłu skurczyło swoją produkcję na rozkaz Wall-Street. Bezrobocie zbiera swoje ponure żniwo. Coraz trudniej żyć i wyżyć robotnikowi oraz pracującemu chłopstwu. Wzmagające się podatki całym swym ciężarem spadają na barki pracujących, omijając klasy posiadające. Pęczniejący budżet zbrojeniowy i na wydatki na brudną wojnę w Vietnamie i na zakup amerykańskiej produkcji wojennej pomnaża deficyt budżetowy, spycha do kompromitująco nikłych kwot wydatki na urządzenia socjalne i oświatowe, na budownictwo pokojowe.

We Włoszech marshalizacja przyniosła wzrost bezrobocia do 2 milionów, 75 proc. rodzin włoskich ma dochód miesięczny nieprzekraczający 44.000 lirów podczas gdy minimum kosztów utrzymania wynosi co najmniej 50.000 lirów. Przemysł pracuje na połowie swoich możliwości produkcyjnych.

W Anglii sytuacja jest równie trudna. Płaca realna nieustannie spada, nie ma miesiąca, aby nie dokonano podwyżki cen przy zamrożonych od dawna przez labourzystów płacach. Sam minister aprowizacji musiał przyznać: „Gdziekolwiek rzucicie okiem, wszędzie się widzi liczne i niezbite dowody tego, że w wyniku zwyżki cen najważniejsze artykuły spożywcze są ostatnio niedostępne dla prostych ludzi pracy i klas średnich".

Król francuski Henryk IV obiecywał, że każdy z jego poddanych będzie miał rosół z kury na obiad. Pleven nie ma czego obiecywać, bo i tak mu nikt nie uwierzy. Ale Webb, ów angielski minister aprowizacji, obiecywał Anglikom lepszą jakość kiełbasy. Nie mógł on oczywiście zaproponować swoim ziomkom to co ongiś obiecywał Henryk IV Francuzom z tej prostej przyczyny, że w ramach „pomocy" amerykańskiej Anglia otrzymała w imporcie... kurzą dżumę. Sęk jednak w tym, że kiełbasy w ogóle w Anglii jest tyle co na lekarstwo.

Ale Pleven i Attlee powiadają, że jest wspaniała propozycja dla ludu: znaleźć się w kotle atlantyckim w charakterze mięsa armatniego. To samo mówią jak nakręcone katarynki inne usłużne rządy. Tego rodzaju propozycje i nieustanne żądania amerykańskie „nowych ofiar" ostudzają entuzjazm nawet miejscowej pracy burżuazyjnej, która coraz odważniej zaczyna przebąkiwać o tym, że w istocie rzeczy cała impreza atlantycka oparta jest na bardzo kruchych podstawach i papierowych obliczeniach.

Proletariat europejski wie natomiast od dawna o tym. Wie aż nadto dokładnie, że Eisenhover jest wysłannikiem tych sił, które niosą nędzę, głód, pożogę wojenną. Ów pupilek Marshalla i Trumana ma w swej karierze tak „chwalebne" karty jak bandycki atak zbrojny na bezrobotnych inwalidów wojennych w roku 1932 na ulicach Waszyngtonu. Jest wypróbowanym agentem kapitału monopolistycznego. Jest wreszcie dowódcą o wątpliwych zdolnościach wojskowych. Dowodem tego były działania alianckie w czasie drugiej wojny światowej na Sycylii czy w Normandii, a przede wszystkim w Ardenach. Właśnie w Ardenach i to właśnie pod dowództwem Eisenhovera załamał się front aliancki a hitlerowcy byli na drodze do odwrócenia fatalnej dla siebie na Zachodzie karty, gdyby nie potężna ofensywa Armii Radzieckiej na linii Wisły, przejmującej na swoje niezmożone barki siłę najmocniejszych dywizji hitlerowskich.

Truman wyjaśnił, że Eisenhover ma do spełnienia podobną rolę w Europie, jak Mac Arthur we wschodniej Azji. Sądząc po przygodach Eisenhovera w czasie drugiej wojny światowej i po generalnej klapie strategii Mac Arthura w Korei — na pewno! A tacy są dla Trumana i Wall Street najlepsi, bo wszak generał-rektor zdążył poprzez Marshalla powiązać się bardzo silnie z „domem" Morgana (70 miliardów majątku!!), a przez okres swego rektoratu związał się jeszcze silniej z mafią imperialistyczną i jej zawdzięcza swoje wysokie stanowiska. Warto tu dla wyjaśnienia przypomnieć, że uniwersytet Columbia, w którym rektorował Eisenhover, podobnie jak większość uniwersytetów amerykańskich jest przedsiębiorstwem, stanowiącym własność grupy Morgana i Rockefellera, a w radzie zarządzającej zasiadają takie „naukowe" potęgi jak Harrison, prezes potężnego koncernu: „International Telephone and Telegraph", jak Dodge, król miedzi, jak Warren, fabrykant karabinów maszynowych. Ciemne zatem siły stoją za Eisenhoverem, wiernym sługą Wall Streetu i różnych międzynarodowych kanalii. Odpowiedni to więc wykonawca zbrodniczych planów podżegaczy wojennych, wdzięcznie wspominany przez faszystów niemieckich z okresu pełnienia przez niego obowiązków gubernatora wojskowego amerykańskiej strefy okupacyjnej w Niemczech, orędownik kolaboracjonistów francuskich w latach ostatniej wojny.

Dla ludów Europy w istocie obojętną jest nawet sama osoba nowego gauleitera. Wystarczy, że jest, że próbuje montować nową agresję i nową zawieruchę wojenną, że kosztem krwi i życia milionów chce ratować walący się na łeb na szyję gmach imperializmu północno - amerykańskiego.

W epoce, w której wszystkie drogi prowadzą do komunizmu, nie mają oczywiście poważniejszych szans powodzenia tego rodzaju knowania. Ludy Zachodniej Europy nie tylko potrafią już dzisiaj demonstrować, dając świadectwo prawdzie, że nic o nich bez nich, ale potrafią walczyć skutecznie o pokój, o niepodległość, o prawo do życia, ziemi i chleba.

Eisenhover powraca do Stanów Zjednoczonych dla złożenia sprawozdania swoim mocodawcom ze swojego wywiadu po Europie Zachodniej. Ostatnie chwile jego kilkudniowego pobytu na europejskim gruncie pozostają pod znakiem olbrzymiej manifestacji ludu francuskiego, który wydobył na światło dzienne całą przemyślność katów ludu i wystawił cały aparat terroru, by zagłuszyć w represjach głos milionów. Nie zagłuszył i nie zagłuszy. Powrót Eisenhovera do Europy z nowymi instrukcjami nie tylko w niczym nie zmieni sytuacji na korzyść amerykańskich machinacji, ale będzie sygnałem podjęcia nowej walki ludów krajów zmarshalizowanych o wolność od groźby wojny, o wolność od imperialistycznych opiekunów. Cóż z tego, że usłużne rządy i parlamenty uchwalają budżety wojenne, że planują dywizje. Ostatecznie armaty nie będą same strzelały, a Pleven z Attlee oraz swoimi pomocnikami nie stanowią jeszcze armii, nie myślą nawet o tym, aby uzupełnić szeregi mięsa armatniego swoimi osobami. A kto te szeregi uzupełni, jeżeli proletariat Europy Zachodniej odpowiada krótko: precz z wojną! Eisenhovery za Ocean!

FRANCISZEK ZAWADA

NIEZNANI KLASYCY

RYSZARD KONICZEK

POWIEŚĆ O LUDZIE PROWANSJI

PAN na Piaskowym Zamku"*), to zapomniana powieść zapomnianego pisarza.

Autor tej jedynej zresztą powieści, Jules - François Eléazar de Collet baron de la Madeléne, urodził się w roku 1820 w Warsalu, w rodzinie arystokratycznej, pochodzącej z hrabstwa awinońskiego, osiadłej następnie w departamencie Voucluse w Prowansji. Tam też przebiega akcja „Pana na Piaskowym Zamku", którego autor był silnie związany z ziemią Prowansji i jej ludem.

Departament Voucluse, a dokładniej hrabstwo Venaissin, gdzie wychowywał się Madeléne, wywalczyło sobie od wieków swobody republikańskie i było z nich dumne. Wyrazi to bohater powieści Esperit: „My tu w hrabstwie jesteśmy od wiek wieków rzeczpospolitą i pan nic na to nie poradzi, panie wójcie". Te tradycje republikańskie przyjęły radykalne zabarwienie, gdy w roku 1791 mieszkańcy hrabstwa z

James Gillray — „Bitwa"

bronią w ręku opowiedzieli się za rewolucją i oddali się pod panowanie Francji. Restauracja, a następnie drugie cesarstwo innymi więzami przytwierdziły Prowansję do Francji. Władza Mazametów i Tirartów w Lamanose i Rétables, to już nie więź wspólnej idei demokratycznej, to ucisk policyjny i żandarmeria. Mieszkańcy Lamanose odnoszą się z szacunkiem do zdolności gospodarczych, do wytężonej pracy wójta Tirart, ale nie umieją tytułować go „panie Tirart". „Panie" — ma posmak innej, obcej władzy. Ten „wrodzony" republikanizm zwracał się myślą do czasów, kiedy byli niezależni, kiedy „konsul musiał każdego wysłuchać".

Wychowany wśród takich ludzi młody Juliusz Madeléne, znalazłszy się w Paryżu, wszedł w krąg socjalistów. Pociągnęły go hasła socjalizmu utopijnego. Współpracuje z Piotrem Leroux w „Revue Indépenedante", publikuje wiersze i nowele. Twórczość jego w tym czasie mieści się całkowicie w ramach romantyzmu.

Rząd Tymczasowy w 1848 roku mianuje Madeléne'a komisarzem republiki w Awinionie. Podczas rewolucji czerwcowej Madeléne przechodzi może to, co w powieści przeżywa Esperit: „Esperit od almanachów, Esperit, co spadł z księżyca, Esperit od koników polnych stał się nagle mężczyzną, dojrzewał, panował nad sobą; objawiała się jego właściwa natura, znajdował drogę". Esperit - Madeléne znalazł drogę w gorących dniach czerwca, stanąwszy po stronie robotników paryskich. Wtedy dostrzegł jedyną siłę konsekwentną, jedyną „partię" — proletariat. Gdy w dziesięć lat potem będzie z humorem opisywał partie w Lamanose, powie, że trudną rzeczą jest bliższe określenie stronnictw, bo w Lamanose nie ma proletriatu.

I jeszcze raz wystąpił Madeléne. Podczas buntu tkaczy liońskich. Rzucił w twarz panom z Pałacu „Niech ginie Polska i niech ginie Italia! Żołnierzy Republiki starczy zaledwie na to, aby zwalczać republikanów..." „Formułuje w uderzający sposób jedną z tych prawd historycznych, które stanowić będą w przyszłości podstawy naukowego socjalizmu: „Kiedy pewne zagadnienie powstanie w świadomości ludu, należy je rozwiązać lub zginąć..." (Wstęp Aragona).

Za Cesarstwa był Madeléne tylko pisarzem. Pisarzem, który dzięki piętnu byłego komisarza republikańskiego nie mógł zdobyć powodzenia księgarskiego. W roku 1859 w „Revue des Deux Mondes" pojawia się „Pan na Piaskowym Zamku" — bez echa. W tym samym roku umiera Juliusz Madeléne.

Powieść Madeléne'a nie jest zbiorem wypadków z życia autora, jest raczej marzeniem jego życia. Marzeniem, które znajduje swoje odbicie w rzeczywistym bytowaniu ludu prowanskiego. Prowansja — kraina gór i słońca, marzanny i winnic, lawendy i kóz. Kraj, gdzie rosną ludzie pełni temperamentu, porywczy, silni. Silni nie tylko w swych prostych namiętnościach, ale w ciężkiej pracy na roli spalonej słońcem i twardej jak skała. Lamanose — mieścina prawie górska. Resztki starych murów, wieża św. Sebastiana, w której bronili się konsulowie w XII wieku, osiem gospód i na drodze do Carpentros „Piaskowy Zamek" — oto tło. Nie ważne są poszczególne elementy, lecz całość obrazu, przemawiającego ciepłem umiłowania ziemi ojczystej. Patriotyzm różnych postaci powieściowych: Esperita i Tirarta, Marcelego i Blandyny. I nie ma słów, nie ma patosu, są tylko fakty i uczucie.

Esperit nie urodził się z takim uczuciem; nauczył się kochać wtedy, gdy do Lamanose przybyli panie i panowie z Paryża. Gdy z trudem zestawił ich nagły zachwyt i szybkie znudzenie. Czy świadome uczucie, świadome spojrzenie „innymi oczyma" na otoczenie zmieniło działanie Esperita? Esperit pokochał Lamanose, gdy „po skończonym dniu powracał wzdłuż łąk i pól, myśląc i marząc z oczami utkwionymi w gwiazdy, przeżywając swe sny..." Uczucie jego jest jednak twórcze — ocalił wieżę św. Sebastiana, wybudował śluzę, obsadził topolami brzeg rzeki, zaprowadził hodowlę morwy karłowatej i oliwki krymskiej. Wreszcie postanowił wystawić tragedię — „Śmierć Cezara".

Miłością Esperita z Lamanose kocha dziś swą ziemię chłop z nad Łaby i Wisły, z nad Wołgi i Jang-Tse-Kiangu. Oto miłość — czyn, patriotyzm i internacjonalizm, to co wziął Madeléne od robotników paryskich i przeniósł do utworu.

Czytelnik dzisiejszy nie znajdzie w powieści ostrych konfliktów społecznych. Pochodzi to ze specyficznego rozwoju Lamanose. Nie zawisło jeszcze nad nim widmo wyzysku kapitalistycznego; zdobyte swobody republikańskie, nie dopuściły niewoli feudalnej, chociaż jedno i drugie zostawiło ślady. Przykład: chociażby rywalizacja sąsiednich wsi. Zagadnienie leży nie tylko w krewkiej naturze wieśniaków. Z tym walczy Esperit, to jest przewodnią myślą wystawienia tragedii „Śmierć Cezara".

Istnieje jednak władza królewska, oficer żandarmerii, rejent Mazamet i sam wójt Tirart, którzy obręczą ściskają swobody burzliwych prowansalczyków. Lud przywykły do wolności, do praw demokratycznych dostrzega to i burzy się. Mieszkańcy Lamanose to chłopi i drobni rzemieślnicy. Każdy z nich ma własny warsztat pracy, możliwość wyżywienia rodziny. Ale w środku tej demokracji wyrasta wójt Tirart. Na razie jest on bogatym chłopem. Bogatym dzięki własnej niezmordowanej pracy, dzięki zdolnościom i sprytowi w transakcjach handlowych, dzięki umiejętności wykorzystania terenu i ludzi, a także władzy wójta do prywatnych celów. Ale jest on mocno przywiązany do ziemi, prosty, ulegający takim samym namiętnościom, jak wszyscy wieśniacy, chce by go tytułowano „panem", dlatego, że tak nazywa go starosta. Jest to postać, która nie zaważyła jeszcze na rozwoju wsi, ale która przekształci ją w przyszłości. Przeciwieństwem Tirarta jest genialny wynalazca Matołek Senalrie z Seyamie. Jego bankructwo i niepowodzenia w handlu płyną nie tylko z przyczyn wewnętrznej bezradności. To klęska wieśniaka nieświadomego tricków handlu kapitalistycznego. Tragedia jego wynalazku ma także źródło w pewnym zastoju gospodarczym wsi prowansalskiej.

Madeléne miał za sobą doświadczenia romantyzmu, doświadczenie Balzaca i Stendhala. Stworzył też postacie, w których wykorzystał doświadczenia poprzedników. Lucjan i Feliza to produkty wychowania kapitalistycznego, to produkty całego systemu ekonomicznego kapitalizmu. Kosmopolityzm Lucjana został świetnie zestawiony z patriotyzmem Esperita.

Bohaterem powieści jest Eleazar Esperit, ale właściwym bohaterem jest lud. Esperit sumuje w sobie wszystkie dążenia ludu, przeżywa w sobie tę wielką przemianę, dla której Madeléne napisał książkę. Jest to przebudzenie się świadomości siły w masach ludowych i wiara w przyszłe zwycięstwo, tęsknota za lepszym, pełniejszym życiem. Projekt Esperita wystawienia tragedii w Lamanose i wydarzenie z tym związane, to epickie tło powieści, ale zarazem coś więcej. To próba poruszenia ludu, zapalenia go do wielkich celów. Czy nie wydaje się to śmieszne? Gdy Esperit idzie do „uczonego" pana Lagardelle, nauczyciela, z prośbą o pomoc, ten drwi z niego: „Jesteś ogrodnikiem, jesteś studniarzem, nagle strzela ci do głowy wziąć się do sztuk pięknych. Może zdobyłeś stopień naukowy, dyplom? Ty nieuku, ty niepoprawny głupcze! Ty miałbyś grać tragedię? Ty, Esperit? A czy wiesz w ogóle, co to jest tragedia? Czy zastanawiałeś się, kto jest największym autorem tragicznym? Czy liznąłeś choć trochę retoryki?"

Śmieszne to jest dla pana Lagardelle, ale nie dla Esperita. Esperit wierzy w siebie, wierzy w wieśniaków z Lamanose, że zrozumieją i podejmą próby tragedii. Wielka wiara, optymizm Esperita zwycięża. Sceny przygotowania do odpustu św. Antoniego, to wielki, historyczny obraz, chciałoby się powiedzieć, zwycięstwa ludu. Bo tu Esperit już nic nie znaczy. To lud tworzy, opanowany wielką tęsknotą za lepszym życiem.

Na pierwszy plan wysuwa się ogromny optymizm Madeléne'a, twórcze spojrzenie w przyszłość; zwycięża idea nowego, bogatszego życia dla ludu. Madeléne patrzy jeszcze dalej. Wynikiem nowych wydarzeń jest Esperit-artysta, Esperit, który nie potrafi już lepić nieforemnych figurek wczorajszych i tworzy arcydzieło.

Angielski rysunek satyryczny z połowy XIX wieku.

Atmosfera wiary w wielkie siły ludu, tęsknota do lepszej przyszłości, panują w całym utworze. Bliski jest nam „Pan na Piaskowym Zamku" w chwili rzeczywistego zwycięstwa i budowania lepszej przyszłości. Ludowy patriotyzm pogłębia artyzm powieści i uczy jak kochać ojczyznę.

Ryszard Koniczek.

***) Jules de la Madeléne, Pan na Piaskowym Zamku, P. I. W., 1950. Przedmowa Louis Aragona. Tłumaczenie Jadwigi Janochowskiej.**

HANNA KIRCHNER

„UPARTA, GWAŁTOWNA I POSĘPNA..."

Emilia Brontë (urodziła się w 1818 roku) była jedną z trzech oryginalnych, utalentowanych pisarek, córek wielebnego Patricka Brontë. Mówi się o nich po prostu: siostry Brontë. W 1811 roku ojciec ich, Irlandczyk z pochodzenia, przybył do parafii Haworth w Yorkshire. Tu ożenił się i do końca życia nie wyjrzał poza obręb wietrznych wrzosowisk West Riding. Trzy siostry uczyły się w szkole żeńskiej dla dzieci pastorów w Cowan Bridge. Charlotta i Emilia spędziły później jakiś czas w pensjonacie w Brukseli, ucząc się języków. Wszystkie trzy było naprzemian guwernantkami lub nauczycielkami w dworach najbliższej okolicy. Pisały wiersze i wydały zbiorek pod pseudonimem: Currer, Ellis i Acton Bell. Zbiorek przeszedł bez wrażenia. Sto cztery lata temu, w 1847 roku ukazały się natomiast trzy pierwsze powieści sióstr Brontë: „Wichrowe wzgórza" Emilii, „Agnieszka Grey" Anny i „Jane Eyre" Charlotty. Charlotta wydaje jeszcze dwie powieści: „Shirley" i „Vilette" i zaczyna być sławna. Emilia i Anna już wtedy nie żyją. Autorka „Wichrowych Wzgórz" umarła w rok po wydaniu swej pierwszej i jedynej powieści. Charlotta rozstała się z życiem mając trzydzieści kilka lat. Wszystkie trzy umarły na gruźlicę.

Przez pół wieku sława towarzyszyła imieniu Charlotty. Dopiero wiek XX „odkrył" Emilię. „Wuthering Heights" *) wchodzą do rejestru klasycznych pozycji literatury angielskiej. Kiedy „Wichrowe wzgórza" ukazały się w druku, wzbudziły powszechną niechęć krytyków, którzy określili autorkę słowami: *„uparta, gwałtowna i posępna"*. Była to opinia bardzo trafna. Treść tych słów określała równie dobrze konflikty książki, jak i stosunek autorki do epoki, którą tak przenikliwie scharakteryzowała w swej powieści.

Były to czasy dalszego postępowania procesu, o którym mówi „Manifest Komunistyczny: *„Wszystkie dotychczasowe drobne stany średnie — drobni przemysłowcy, kupcy i rentierzy, rzemieślnicy i chłopi, wszystkie te klasy staczają się do szeregów proletariatu"*. Przedstawiciele warstw pośrednich już od początku kapitalistycznego układu społecznego zagrożeni w podstawie swego istnienia równolegle do rozwoju kapitalizmu zaczynają dawać wyraz swemu niezadowoleniu. W literaturze forma tego protestu przejdzie znamienne przeobrażenie, charakteryzujące poszczególne etapy zmian w położeniu tych warstw.

W XVIII wieku bohater książki Fieldinga „Joseph Andrews" — komiczny i naiwny pleban Adams kroczy optymistycznie i wytrwale wielkimi gościńcami burżuazyjnej Anglii. Były to czasy sentymentalnej krytyki kapitalizmu. Prawie sto lat później na tych samych drogach zaturkocze dyliżans nowego Don Kiszota kapitalistycznej Anglii. „Anioł w kamaszach", pan Pickwick — starszy doświadczeniem epoki brat plebana Adamsa uosabia nowy etap naiwnego protestu angielskiego drobnomieszczaństwa. Pleban Adam wygłasza kazania. Pan Pickwick robi to samo — dzielnie sekunduje mu „autor jego dni" — sam Dickens. Wszyscy oni wierzą jeszcze w dobry z natury charakter wyrodnego syna. Kapitalizmowi trzeba naprostować zwichnięty kręgosłup a będzie szczęśliwie żył dalaj. Oto wiara, która od stu lat nie opuszcza angielskiego drobnomieszczanina. Czeka na wygrzane miejsce przy kominku i chce sam także wyciągać kasztany z ognia. Brutalnie odepchnięty wyciąga biblię i odwołuje się do miłości bliźniego. Znajdziemy to jeszcze w „Klubie Pickwicka". Ale po obu stronach gościńca czekają na poczciwców zasadzki. Dickens napotka ich już więcej niż pleban Adams. Kapitalizm nie ustaje w pomysłowości. Nastąpił w międzyczasie obrót historycznej sceny. Oczom drobnomieszczańskiego anioła ukazuje się otchłań więzienia za długi, domu ubogich wyzysku nieletnich i ucisku robotników. Za kilka lat poczciwa twarz drobnego rentiera Pickwicka przekształci się w odrażające gęby Veneeringów i Podsnapów. Drobnomieszczanina zaczyna kapitalizm straszyć. Przyznaje się przed sobą, że nadeszły „ciężkie czasy".

W powieści sentymentalnej Fieldinga, w prozie Dickensa człowiek tkwi w bogatym, soczystym tle zaobserwowanej rzeczywistości. Nie boi się licznych związków z otaczającym go światem i epoką w jakiej żyje. Wciąż jeszcze triumfuje dobroć i wydaje się być skutecznym środkiem na bolączki tego najlepszego ze światów. Ale mimo pozorów nie ma tu już aktywnej konstrukcji losu ludzkiego. Drobnomieszczanin nie dobija się już o miejsce w kapitalizmie ale broni się przed ostatecznym zepchnięciem na dno. Ostatecznie pan Pickwick zostawia więzienie i ucieka na wieś. Panowie Dodson i Fogg, przedstawiciele burżuazyjnej „sprawiedliwości", których nie miał zaszczytu znać pleban Adams, zwyciężają.

Romantyczna powieść Emilii Brontë ma niewiele wspólnego z realizmem krytycznym Dickensa. Ale i u niego znajdziemy ślady romantycznego widzenia świata. Są w „Klubie Pickwicka" dwa nieduże fragmenty: „Opowiadania wariata" i „Opowieść więźnia". Protest przeciwko rzeczywistości zostaje tam przybrany w zdeformowany, nadnaturalny kształt, zostaje przeniesiony z czynnego działania w sferę konfliktu psychologicznego. Te niesamowite, przerażające historie przypominają w wielu punktach konstrukcję losu ludzkiego w „Wichrowych wzgórzach". W tych małych opowieściach kryje się dowód pokrewieństwa Dickensa z romantyczką z krwi i kości Emilią Brontë.

Bohater książki Brontë, Heathcliff, zjawia się w posiadłości Ernshaw'ów „Wichrowe wzgórza" tajemniczo i niespodziewanie. Pan domu znajduje go w czasie swojej wizyty w Liverpoolu — na ulicy, podrzuconego przez kogoś. Heathcliff może być Cyganem, księciem hinduskim — wreszcie kimkolwiek innym. Wychowuje się w domu, w którym go przygarnięto, przez kilkanaście lat. Zaprzyjaźnia się na śmierć i życie z córką domu Katarzyną, natomiast brat jej to jego śmiertelny wróg. Wkrótce przypomina mu się w sposób stanowczy o jego pozycji życiowej. Heathcliff spada do rangi parobka. Krzywdzony i poniżany na każdym kroku traci nawet Katarzynę. Zaręcza się ona z przystojnym i bogatym Edgarem Lintonem, właścicielem sąsiedniego majątku „Drozdowe Gniazdo". „Gdyby mój podły brat — zwierza się Katarzyna swojej piastunce Nelly — nie zmarnował Heathcliffa i nie zrobił z niego parobka, nawet na myśl by mi nie przyszło to małżeństwo. Ale teraz poniżyłabym się wychodząc za Heathcliffa. Dlatego on się nigdy nie dowie jak bardzo go kocham". Magiczna władza pieniądza i kręgu towarzyskiego wyznacza granice ludzkiej miłości. Emilia Brontë dobrze zna kapitalistyczny świat. Nie ma w jej powieści realizmu szczegółów, ale są zasadnicze prawa rządzące ówczesnym światem. Układ losów Heathcliffa pozostaje w ścisłym związku z nimi. Heathcliff słyszy słowa Katarzyny. Ucieka z „Wichrowych wzgórz". Wraca po latach jako „dżentelman", bogaty, wykształcony, zmieniony nie do poznania, wraca po to, aby się mścić.

Pleban Adams z powieści Fieldinga był bezbronny i dobroduszny. U Dickensa znajdziemy ludzi cierpiących i pokrzywdzonych. Bohater „Wichrowych wzgórz" mści się za swoje krzywdy. Tu już nie ma umoralniających kazań, nie ma także świętego oburzenia w stylu Samuela Pickwicka esquire. Heathcliff jest tak samo bezwzględny i okrutny jak ludzie, którzy go krzywdzili, jak prawodawcy mieszczańskiego świata. Znikają wszelkie normy moralności, litości dla ludzkich uczuć. Heathcliff poniża je w swoich ofiarach z taką samą rozkoszą i zaciekłością, z jaką niegdyś jego poniżano. *„Burżuazja* — mówi Manifest Komunistyczny — *świętobliwe dreszcze pobożnego marzycielstwa, rycerskiego zapału, mieszczańskiego sentymentalizmu zatopi w lodowatej wodzie egoistycznego wyrachowania"*. Echo tych słów znajdziemy w samej powieści: *„Dopatrzyła się we mnie romantycznego bohatera, zdolnego do rycerskich uczuć i nieskończonej wyrozumiałości. Tak uparcie obstawała przy fantastycznej wierze w mój szlachetny charakter, że wprost trudno mi ją uważać za rozumną istotę. Zdaje się jednak, że zaczyna mnie wreszcie poznawać"*. „Jest to zarazem jakby określenie stosunku drobnomieszczańskiego bohatera do otaczającego go świata i świadectwo wielkiej drogi, jaką przebył od optymistycznego Fieldingowskiego bohatera do pesymizmu Heathcliffa.

„Uparta, gwałtowna i posępna" — to znaczy także: inny układ losów ludzkich, inny stosunek człowieka do świata, inne jakości artystyczne. Demony zła i okrucieństwa uosobione w Hindleyu Ernshaw, bracie Katarzyny i w Heathcliffie, skonstruowane są przez autorkę z mistrzowską przenikliwością. Są to niejako typy „kliniczne" obnażające zasadnicze linie moralności burżuazyjnej. Konflikty powieści są metaforycznym obrazem stosunków między ludźmi określonych prawami w burżuazyjnej rzeczywistości. Prawa te nie znają żadnych względów ubocznych, żadnych argumentów moralnych. Metafora „Wichrowych wzgórz" kondensuje w sobie z drugiej strony już nie rozczarowanie mas pośrednich wobec kapitalizmu, które uderzają w te warstwy, są dla nich tyle tajemnicze, co przerażające. Beznadziejna aura powieści i nierozwiązalne, skomplikowane konflikty psychologiczne odzwierciedlają w sposób przejmujący epokę, w której straszliwa nędza tworzyła olbrzymie bogactwo, w której dzień po dniu staczały się na dno bytowania społecznego tysiące przedstawicieli klasy drobnomieszczańskiej.

Postępowanie Heathcliffa to z jednej strony bunt i protest, z drugiej obraz praw rządzących w świecie burżuazji. Nie bez przyczyny do charakterystyki postępowania Heathcliffa autorka dodaje zdanie: *„Wieśniacy twierdzili, że pan Heathcliff był chciwy, twardy i okrutny dla swoich dzierżawców"*. Heathcliff dobija się do pozycji materialnej swoich prześladowców. Zemsta jego polega przede wszystkim na odebraniu im majątku, na ustawieniu syna Hindleja Ernshaw na takich samych pozycjach nędzy i ciemnoty, na jakie zepchnięto kiedyś jego samego. Dwoistość funkcji, jaką odgrywa postać Heathcliffa powoduje, że obok posępnego okrucieństwa, jakie wykazuje, posiada on jeszcze ogromne bogactwo uczuć pozytywnych. Heathcliff zdolny jest do najgłębszej miłości, wierności i przywiązania. Powierzchownemu obserwatorowi wydałoby się, że jego złe cechy są wrodzonym atrybutem charakteru, że on sam reprezentuje demoniczne, ciemne siły, wieczne zło, wieczną nienawiść do dobra. Przy uważnym przeczytaniu książki widać głęboki związek postawy moralnej Heathcliffa z jego pozycją życiową. Resztą zła reprezentuje on epokę, w jakiej żyje. Jest typowym okazem bohatera, w którego psychologicznej sylwetce pisarze romantyczni zwykle zamykać całą problematykę swojej rzeczywistości.

Romantyczny protest Heathcliffa, protest równie gwałtowny co beznadziejny wyraża się równolegle w drugim nurcie powieści, w dziejach miłości jego i Katarzyny. Jest to jeden z aspektów walki o prawa do człowieczeństwa, do wielkich uczuć, do wolności, chociażby w dziedzinie życia wewnętrznego. Miłość ta jest siłą rozsadzającą więzy istniejącego układu społecznego, siłą przemożną, niezależną od przemocy pieniądza, kodeksu obyczajowego i moralnego. Nie brak tu typowego dla romantycznej koncepcji miłości przekonania o odwiecznym, z góry narzuconym związku dwóch dusz, o konieczności połączenia się ich wbrew wszelkim ziemskim mocom. Tak mówi Katarzyna: *„Moja miłość do Lintona jest jak liście w lesie. Wiem dobrze, że czas ją przeobrazi, tak jak zima przeobraża drzewa. Moja miłość do Heathcliffa jest jak wiecznotrwała ziemia pod stopami, nie przykuwa oka swoim pięknem ale jest niezbędna do życia. Nelly, ja i Heathcliff to jedno. Jest zawsze, zawsze obecny w moich myślach — nie jako radość, bo i ja nie zawsze jestem dla siebie radością, ale jako moja własna istota"*. Miłość ta jest tak samo beznadziejna i tragiczna jak droga życiowa Heathcliffa. Jest jedynie źródłem cierpień dla niego i dla niej.

Bezradny i niedojrzały protest przeciw rzeczywistości mógł się skończyć jedynie katastrofą. Na inne zakończenie nie pozwalały bezwzględne prawa rzeczywistości, które Emilia Brontë tak dobrze w swej powieści odtworzyła. Kosztem niesłychanych cierpień własnych i cierpień swoich ofiar Heathcliff mści się za swoje krzywdy. Mimo to nie osiągnie niczego. Poszarpana zygzakowata linia jego życia wznosiła się uparcie w górę, aby teraz gwałtownie się załamać. Męczarnie wewnętrzne, zbliżone do obłędu, jakie przeżywa po śmierci Katarzyny, są końcowym etapem jego tragicznej kariery. Śmierć jest jedynym, uzasadnionym wynikiem jego beznadziejnych usiłowań. Głęboki pesymizm Emilii Brontë jest bardziej realistycznie uzasadniony niż koncepcje w „Klubie Pickwicka". Tam nie ma on odwagi wyciągnąć konsekwencji z dokonanych spostrzeżeń. Autorka „Wichrowych wzgórz" powiedziała ostatnie słowo.

Anonimowy wstęp do powieści mówi o „Wichrowych wzgórzach": „Powieść ta nie zapisuje prawdy o świecie. Powieść ta pokazuje nam jedynie, w jaki sposób świat był przez pisarzy tej epoki przedstawiany, jakim im się wydawał". Starałam się dowieść, że opinia ta jest powierzchowna i niesłuszna. Wartość jedynej książki młodziutkiej pisarki kryje się nie tylko w prawdzie konstruowanego przez nią świata, ale i w wielkich walorach artystycznych jej utworu. Powieść pisana jest prozą tak piękną, mistrzowsko jasną i prostą, jakiej niewiele jest w światowej literaturze. Rzadkie są w niej opisy przyrody, a przecież w głębi każdej kartki słyszymy posępny szum wiatru na wrzosowiskach Yorkshire, czujemy ciągłą obecność natury i jej subtelny a głęboki związek z ludźmi.

Romantyczna krytyka kapitalizmu, której typowym przykładem jest powieść Emilii Brontë, przebiega innymi drogami niż krytyka powieści realizmu krytycznego XIX wieku. Nie operuje ona bogactwem historycznych szczegółów, drobiazgową obserwacją rzeczywistości. Koncentruje swą uwagę niemal wyłącznie na życiu wewnętrznym człowieka. A jednak współczesny czytelnik znajdzie w tej literaturze pełną pasji krytykę mieszczańskiego porządku, obronę wielkich i pięknych uczuć ludzkich, którym tak nienawistne są zasady burżuazyjnej moralności pieniądza i ucisku. Znajdzie protest i bunt przeciwko więzom kapitalistycznego świata, dążenie do wolności, do nowych postępowych form ustroju społecznego.

Hanna Kirchner

**) Emilia Brontë „Wichrowe wzgórza", Czytelnik, 1950, tłumaczyła Janina Sujkowska.*

IRENEUSZ G. KAMIŃSKI

BĘDZIE ŚWIETLICA!

I.

Dyrektor Dąbrowski uniósł się nieznacznie z fotela podając rękę i wskazał Twardemu krzesło.

— Pan zdaje się... w sprawie świetlicy?

— Tak, towarzyszu dyrektorze. Związek Zawodowy Metalowców przysyła mnie z poleceniem zorganizowania w fabryce świetlicy.

— Czy pan... czy obywatel jest typowany na kierownika świetlicy?

— Tak.

— Formalności są chyba załatwione w biurze personalnym?

— Tak.

— Sądzę, że dyrekcja zatwierdzi pana na tym stanowisku...

Zrobił wymowną pauzę i odbębnił jakiegoś marsza na politurze biurka. Ostatnie zdanie wypowiedział takim tonem, jakby do zatwierdzenia najzupełniej wystarczyła jego opinia. — Typowy okaz z gatunku „Dyrekcja — to ja" — pomyślał Twardy i przerwał milczenie.

— Jak to możliwe, żeby dotychczas nie było świetlicy w fabryce, zatrudniającej ponad tysiąc ludzi?

— Była, była i zdaje się, dobrze nawet pracowała, ale trudności lokalowe, brak odpowiedniego kierownika, niewyrobiony aktyw kulturalno-oświatowy — wszystko to sparaliżowało nam życie świetlicowe.

— Może zobaczymy tę nieszczęsną świetlicę — zaproponował.

— Właściwie jestem bardzo zajęty — dyrektor obrzucił rozmówcę niechętnym spojrzeniem — ale jeszcze kilka chwil mogę poświęcić...

W milczeniu zeszli na dół. Jakiś mroczny ganek drzwi z resztkami napisu „Świetlica" a za nimi znów schody. Twardy potknął się i mruknął.

— Ale tu ciemno! Czy światła nie ma w ogóle?

— Nie tak źle, światło jest, tylko kontakt założyli na dole — doleciało go z ciemności.

Ostrożnie szukając stopni dotarł wreszcie do kontaktu. Mdłe światło z jedynej nieosłoniętej żarówki rozbiegło się po kątach. Dyrektor tryumfował:

— Widzicie?! Pali się!

Rozejrzał się wokół. Jakieś ślady po świetlicy zostały. Wpół urwany transparent z napisem „Kultura dla mas", pusta tablica od gazetki ściennej, stół, parę krzeseł. Pod schodami kilka bezładnie spiętrzonych skrzyń i sterta rozrzuconych książek.

— I tu ma być świetlica?

— Nie mogę wam obywatelu...

— Towarzyszu! — poprawił z naciskiem Twardy.

Dąbrowski spojrzał nań z nieukrywaną wściekłością, ale powtórzył:

— Nie mogę wam towarzyszu innego lokalu przydzielić. Wszystkie pomieszczenia są zajęte dla produkcji.

Wyjął chusteczkę z kieszeni i wytarł czoło, jakby zmęczyło go to oświadczenie. Dorzucił jeszcze:

— Zresztą ta sala nie jest najgorsza. Wyczyścić, uporządkować, ściany trochę wymalować, parę obrazów zawiesić — i świetlica pirrrsza klasa!

— Czy fabryka przeznaczyła jakieś fundusze na remont świetlicy? — pytał Twardy, siląc się na spokój.

— Tak. To jest... właściwie dokładnych danych nie mogą udzielić, bo te sprawy załatwia dyrektor finansowy. Jeśli jednak nie uwzględniliśmy tej pozycji, to — mogę was zapewnić — z pewnością umieścimy odpowiednią sumę na tel cel w budżecie na rok przyszły.

— Czyli za 10 miesięcy, tak?

— Tak mniej więcej, chociaż mogę się mylić o parę dni.

Twardy spojrzał mu w twarz chcąc się przekonać, czy nie kpi. Trudno sobie wyobrazić aby do roku 1950 „uchował się" dyrektor tak niedoceniający znaczenia życia kulturalno-oświatowego. A jednak taki dyrektor stoi przed nim, rezonuje i jest w dodatku przekonany, że ma słuszność. Twardy miał zaledwie 25 lat, był porywczy i czasem nie potrafił się opanować. Walczył wprawdzie z tą wadą, ale z małym powodzeniem. Tym należy tłumaczyć, że teraz też podniósł głos.

— A przez ten czas mam świetlicę na zielonej trawce urządzić, czy tak?!

Dąbrowski prawie podskoczył.

— Czego wy się denerwujecie obyw... — przepraszam: czego wy się towarzyszu denerwujecie? Mnie się zdaje — stuknął się kilkakrotnie palcem w pierś, unosząc śmiesznie brwi do góry — mnie się zdaje, że zapominacie, z kim mówicie.

— Nie, nie zapominam. Zdążyłem już się przekonać z kim mam do czynienia. Ale za to wy napewno zapominacie, że jestem delegowany przez Związek Zawodowy Metalowców dla zorganizowania świetlicy i od samego początku traktujecie mnie jak natręta, który zakłócił wam błogi spokój i przypomniał, że wasi robotnicy muszą mieć swoją świetlicę, gdzieby mogli się uczyć, książki i gazety poczytać, gdzieby mogli znaleźć rozrywkę po pracy.

— Mylicie się! — dyrektorowi aż szczęki chodziły. — Dyrekcja chce iść wam na rękę i pójdzie na rękę. Nie możemy jednak brać pomieszczeń z działów produkcji i urządzać w nich świetlicę. Nie możemy planów zarżnąć!

Zaczął recytować jednym tchem:

— Wszystko musimy rzucić do walki o przedterminowe wykonanie planów produkcyjnych...

Twardy przerwał:

— Czy wy czasem wierszy nie piszecie?

Dąbrowski urwał zaskoczony i trwał chwilę z otwartymi ustami, wreszcie odpowiedział:

— Nie. Dlaczego?

— Bo umiecie dobrze deklamować...

Popatrzeli sobie wyzywająco w oczy. Dyrektor wolno odwrócił się i wszedł na schody. Na drugim stopniu stanął i zaczął w stronę Twardego cedzić słowa przez zęby,

— Nie przeglądałem waszego arkusza ewidencyjnego; towarzyszu Twardy. Czy mogę wiedzieć, jakie macie wykształcenie?

— Przez trzy lata prowadziłem w Donbasie Dom Kultury górników.

— Zdaje się, że się nie zrozumieliśmy. Ja myślę o kursach, gimnazjum, uniwersytecie — wyliczał dyrektor z podstępną łagodnością.

— Czy fakt, że w Związku Radzieckim powierzono mi tak odpowiedzialne stanowisko nie jest dowodem dostatecznego przygotowania do funkcji kierownika świetlicy? — odrzekł Twardy ukrywając gniew.

— Jest, jest! — pośpiesznie przytaknął tamten. — Wcale nie zaprzeczam, ale... zrozumcie, przepisy wymagają...

— Jeśli przepisy wymagają, przejrzycie sobie mój arkusz ewidencyjny.

Dyrektor wyszedł trzasnąwszy drzwiami.

— Hej! Jest tam kto? — zawołał jakiś bas.

Ze schodów schodził wysoki mężczyzna w kombinezonie tankisty, z „kawaleryjskimi" nogami; furażerkę zesunął na tył głowy, a w zębach zaciskał krzywą, marynarską fajkę.

Twardy roześmiał się cicho niewiadomo dlaczego, ot — po prostu — tak sobie. Gdy tamten podszedł bliżej, spostrzegł, że jest to człowiek starszy, koło pięćdziesiątki może. Wstał ze skrzyni i patrzył nam wyczekująco. Przybyły nie odzywał się jednak dość długo. Wyjął fajkę z ust, wytrząsnął popiół, wyczyścił ją, schował do kieszeni. Nim przemówił, wytarł jeszcze usta wierzchem dłoni i splunął za siebie.

— Frąckowiak, przewodniczący Rady Zakładowej — przedstawił się.

Uścisnęli sobie dłonie.

— Słyszałem, żeście mieli starcie z Frankiem — spojrzał na Twardego z podełba.

— Z dyrektorem Dąbrowskim?

— Właśnie.

— Co za starcie, rozmawialiśmy o świetlicy. Dobrze żeście się zjawili, to i my pomówimy na ten temat. Chciałem was poszukać.

— A jednak starcie! — Frąckowiak nie ustępował. — Spotkałem go czerwonego ze złości. Cap mnie za ramię: „Ten... Twardy powiedział mi, że z mojej winy świetlicy nie ma!" — Powiedzieliście, czy nie?

— Nie powiedziałem, ale tak jest. On sam to dobrze czuje.

— Słuchaj - no chłopcze. Jesteś pierwszy dzień w fabryce a chcesz sądzić sprawy, o których pojęcia nie masz. Jesteś świetlicowym, przypuśćmy, że będziesz nawet dobrym kierownikiem świetlicy, ale cóż ty możesz o produkcji powiedzieć? Pracowałeś kiedy na fabryce? Nie! Jesteś technikiem, inżynierem? Też nie! A twoja praca ma tyle wspólnego z produkcją, co moja z jazdą na łyżwach. Ot, co! — zakończył, sadowiąc się wygodnie na skrzyni.

— Nie pierwszy, a czwarty dzień jestem tutaj. Przez trzy dni tłukłem się po wszystkich biurach, zanim załatwiłem tak zwane „formalności"... Widzę, jak was biurokracje żre, nie jestem ślepy. Patrzałem, słuchałem.

— Acha, patrzeliście, słuchaliście...

— Tak.

— Was przysłał tutaj Związek Zawodowy Metalowców?

— No tak!

— A kto wie, czy nie jakaś inna instytucja...

Twardemu krew uderzyła do głowy.

— Więc to tak?! Uczciwy człowiek nie potrzebuje się tej „innej instytucji" obawiać. Widocznie i wy, i dyrektor, macie coś na sumieniu!

— Czyś ty bracie oszalał? Ja tylko żartowałem...

— Acha, żartowaliście...

— Tak.

— Wyście do świetlicy przyszli tak — ni stąd, ni z owąd?...

— No tak, przypadkowo!

— A kto wie, czy was tu „Franek" nie przysłał, byście mnie zgasili... Za ważny się robię, nieprawdaż? Poczuliście już, że w pas się nie będę wam kłaniać. Wiecie, że będę wam błędy wytykać. Czy tak?!

Frąckowiakowi twarz ani drgnęła. Wyjął z kieszeni pudełko z tytoniem, nabił fajkę, zapalił i dmuchał dymem przed siebie. Twardy chodził nerwowo po świetlicy w tę i z powrotem, robiąc przepisowe zwroty jak na placu ćwiczeń. Pierwszy odezwał się Frąckowiak:

— Zamiast kłócić się niewiadomo o co, mówmy lepiej o świetlicy. Ty chłopcze rzucasz się jak wsza na łańcuchu, w każdym dopatrujesz się wroga, sabotażysty, szkodnika. Czy nie umiesz po ludzku porozmawiać?

Twardy jeszcze chwilę przeżuwał swoje myśli, potem przysunął drugą skrzynię i usiadł.

— Mówcie! — Frąckowiak skinął głową.

— Pewnie, że będę mówił! Komisja Kulturalno - Oświatowa u was jest?

— Jest. Ja jestem przewodniczącym.

— Coście dotychczas zrobili?

— Zorganizowaliśmy dwa kursy języka rosyjskiego, kilka akademii, sekcję Wszechnicy Radiowej utworzyliśmy, bilety do kin i teatrów się rozdziela, tak samo książki ideologiczne i fachowe. No, i cały czas zajmujemy się organizacją świetlicy.

— Wiecie co towarzyszu, lepiej o organizacji świetlicy nie wspominajcie. Wystarczy się rozejrzeć wokół nas, a zaraz wiadomo, jaka to „organizacja"...

— Zrobiliśmy, co było można.

— Można było wiele więcej zrobić niż zrobiliście.

— Dobrze wam mówić. Mieliśmy już pięciu świetlicowych, żaden z nich nie wytrzymał dłużej, niż miesiąc, najwyżej dwa.

— Odchodzili, boście im nie pomogli zwalczyć trudności. Czy Komisja Kulturalno - Oświatowa starała się o salę na świetlicę?

Frąckowiak był oburzony:

— Przecież u nas nie ma ani jednego pomieszczenia zbytecznego! Wszystkie są wykorzystane, każdy metr kwadratowy jest wykorzystany dla produkcji!

— A biura, czy to też produkcja? Mnie się zdaje, że w waszych biurach jest dość przestronnie, nawet — za przestronnie.

— Ostatecznie staraliście się o salę, czy nie?

— Jeśli się wie, że sali nie ma, to i na co się starać? Mówiłem raz z dyrektorem...

— I na tym koniec?

— Kursy rosyjskiego zorganizowaliście — powiadacie. Ilu się na nie zapisało?

— Na pierwszy piętnaście osób.

— A ilu ludzi zatrudniacie?

— Ejże! Dopytujecie się o dane cyfrowe, które stanowią tajemnicę państwową! — Frąckowiak stał się nagle czujny.

— Nie bądźcie śmieszni, towarzyszu Frąckowiak — perswadował Twardy. — Przecież mamy w Związku zestawienia. Pytam tylko dla orientacji.

— A mnie nawet dla orientacji nie wolno powiedzieć.

— Nie nalegam. Wiem, że w fabryce pracuje około tysiąca ludzi.

Frąckowiak wzruszył ramionami:

— Wie a pyta! Naciąganie gości...

Zamilkli.

— Piętnaście osób na tysiąc ludzi! — Wykrzyknął po chwili Twardy. — Wstał, przemierzył kilka razy salę z rękoma założonymi na plecach i stanął przed Frąckowiakiem.

— Możecie mi wskazać jakieś konkretne osiągnięcia Komisji Kulturalno - Oświatowej?

Frąckowiak długo się namyślał nim otworzył usta.

— Trudno tak z pamięci wyliczać, musiałbym zajrzeć do sprawozdań...

— O, wierzę! Sprawozdania macie w porządku: w 3 egzemplarzach, pospinane, w osobnych teczkach... Sprawozdania toście napewno przy każdej okazji posyłali do Związku. Czy podaliście w tych sprawozdaniach, jak wygląda wasza świetlica? Szkoda słów!

— Wy mnie towarzyszu powiedzcie, dlaczego nikt się u was świetlicą nie interesuje?

— Nie możemy przecież ludzi od pracy odciągać, a do zorganizowania świetlicy trzeba ludzi.

— Nie macie od pracy odciągać, tylko zrobić to poza godzinami!

Frąckowiak spojrzał na Twardego jak na wariata.

— Poza godzinami?! To wy myślicie, że ktoś będzie jeszcze harać poza godzinami w świetlicy?

— Jestem pewien, że znajdą się tacy, którzy chętnie podejmą się nadprogramowej pracy w swej własnej, w swej własnej — słyszycie — świetlicy. A młodzież, a ZMP? Napewno się znajdą chętni, tylko trzeba się do nich zwrócić z tą sprawą, przekonać, zachęcić. Nie będziemy dyskutować, kto z nas ma rację. Przyszłość pokaże. — No tak, przyszłość pokaże, czy nasz nowy świetlicowy będzie lepiej pracować niż jego poprzednicy — wtrącił złośliwie Frąckowiak.

— Komisja Kulturalno - Oświatowa nie zrobiła nic i za to wy, jako przewodniczący jesteście odpowiedzialni.

Frąckowiak niecierpliwie machnął dłonią i zapatrzył się w obwieszoną pajęczynami żarówkę. Twardy zakończył:

— A co myśli o takim karygodnym zaniedbaniu świetlicy Partia przekonamy się. Zaraz tam pójdę.

— Idźcie, idźcie, jeszcze was zaprowadzę — dogadywał Frąckowiak. Wstał obciągnął kombinezon i ruszył ku schodom. Był zdenerwowany, bo napotkaną na drodze skrzynię kopnął gniewnie. Twardy poczekał, aż podejdzie do drzwi i poszedł za nim.

Na korzytarzu Frąckowiak obejrzał Twardego od stóp do głów jakby chciał każdy szczegół jego ubrania dokładnie spamiętać i wskazał głową przed siebie:

— Tam! Czwarte drzwi na prawo.

Twardy wyciągnął rękę. Uścisnęli sobie dłonie z wyszukaną uprzejmością, jak dyplomaci dwóch państw w przede dniu wojny.

Dochodząc do drzwi Twardy obejrzał się. Frąckowiak stał nieporuszony, z fajką w palcach i patrzał za nim. Gdy klamkę pociągnął ku sobie, wdarły się do korytarza promienie słońca, minęły czarny kombinezon przewodniczącego Rady Zakładowej i przepadły, wchłonięte przez rdzawy, porowaty tynk.

Twardy wchodził do sekretariatu Podstawowej Organizacji Partyjnej z lękiem. — Co będzie, gdy sekretarz POP zajmie podobne stanowisko, jak dyrektor lub Frąckowiak?—myślał.— Cóż wtedy zrobić? — Był głęboko przeświadczony, że słuszność jest po jego stronie. Nie mógł wprost zrozumieć jak zakład pracy może istnieć bez świetlicy, jak można wykonywać plany bez szkolenia fachowego i ideologicznego pracowników. Jeśli tutaj nie rozumieją, że prędzej czy później z powodu braku szkolenia zacznie opadać wydajność pracy — to bardzo źle, wręcz tragicznie. Zebrał się w sobie.

Ireneusz Gwidon Kamiński.

Rysunki w gazetkach świetlicowych

Fragmenty rysunkowe gazetki ściennej świetlicy w Minkowicach pow. Oława. W lipcu 1950 r. drobno- i średniorolni chłopi Minkowic zorganizowali spółdzielnię produkcyjną III typu, liczącą 135 członków. Spółdzielnia minkowicka jest jedną z największych, przodujących spółdzielni produkcyjnych w Polsce.

Reprod. rys. Foto WAF

Wiejskie gazetki ścienne z reguły powstają we współpracy autorów tekstów i autorów „malunków" i rysunków. Ale też najczęściej malarze poprzestają na **zdobieniu** gazetki. Malunki bywają symboliczne (jak powyżej stara i nowa wieś) lub kopiowane z ilustracyj pism, rzadko oglądamy próby realistycznego przedstawienia własnej, konkretnej rzeczywistości (jak chociażby obok — szkic wnętrza świetlicy).

Kiedy w redagowaniu gazetki wiejskiej biorą udział nawet korespondenci pism — nie są to już odkrywcze teksty, jakie znamy z krytyk do gazet. Nie ma również w gazetkach nawet tych konkretów, wysuwanych z pasją i celowością, jakie znajdują się w autentycznych skargach i zażaleniach chłopskich. Krótko mówiąc, gazetki wiejskie nie chcą być w istocie swojej gazetami. Jest to zagadnienie, wymagające specjalnego omówienia. Wróćmy do rysowników. Przy takim typie gazetek — nie mają oni tu pola do rozwinięcia realistycznego rysunku. Oni jeszcze nie wyszli na **drogę korespondentów.** A dlaczego nie mieliby i oni zostać korespondentami? Tyle notatek z terenu zamieszczają pisma masowe. Przewinęły się już przez szpalty gazet tysiące (opisanych) sylwetek kułaków, plebanów, spekulantów itd. z jednej strony, jak z drugiej bohatersko walczących mało i średniorolnych w spółdzielniach, w radach, w akcjach gospodarczych i społecznych itd. — oczywiście bez rysunków **korespondenta-rysownika.** Nie powołano go pod broń. Sprawę tę zaniedbali w pierwszym rzędzie korespondenci (tekstowi).

Apelujemy do nich. Szukaj w terenie rysowników. I przysyłaj **tekst ilustrowany.** Nowe to, a ważne zobowiązanie dla korespondentów!

P. Ch.

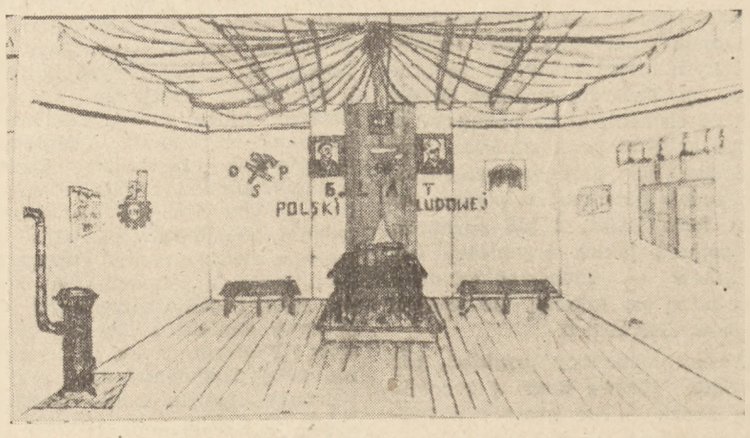

Rys. St. Motyl. Oryginalny rysunek wnętrza świetlicy gromady Kępa. Rysunek ten jest ilustracją gazetki świetlicowej informującej o życiu gromady. Kępa, która przoduje w zakresie pomocy sąsiedzkiej, współzawodnictwa indywidualnego, akcji siewnej, kontraktacji i pracy kulturalno-oświatowej. *Reprod. rys. Foto WAF*

VIETNAM — KRAJ WALCZĄCEJ AZJI

(dokończenie ze str. 4)

władanie, a robotnikom narzucał katorżnicze warunki bytowania.

Naville opowiada o byłym generalnym dyrektorze tego Banku. Był nim Paweł Baudoin, który ponadto trzymał w swoich rękach zarząd wielu towarzystw akcyjnych dla eksploatacji Vietnamu. Przyjaciel Mussoliniego, wierny sługa Petaina, współpracownik japońskiego Mikada potrafił zgarnąć majątek osobisty, który oficjalnie obliczono na 53 miliony franków. W roku 1947 sąd paryski zajął się jego osobą i przy okazji tego procesu lud francuski dowiedział się szczegółów kompromitujących ostatecznie Baudoina i jemu podobnych. Skompromitowany Baudoin, zwykły przestępca i kollaboracjonista finansowy, został odsunięty, ale na jego miejsce przyszli inni.

Dla zagwarantowania kapitałów i ogromnych zysków które one przynoszą potrójnie: z pracy (przemysł, plantacje), ze spekulacji (manipulacje piastrem zwłaszcza przy powojennej waloryzacji) i monopoli (opium) rząd francuski, solidarny wspólnik potwornych interesów Banku Indochińskiego, prowadzi obecnie beznadziejną dla sprawy imperialistów wojnę z ludem vietnamskim.

Jest rzeczą godną szczególnego podkreślenia, że przez pewien czas gubernatorem francuskim po wojnie w Vietnamie był admirał Thierry d'Argenlieu. Zdawałoby się: admirał jak admirał, wyższy wojskowy, tak czy inaczej powiązany z kapitalistyczną grabieżą i interesami kapitału finansowego. Naville wskazuje na bardzo istotny szczegół: ów admirał jest w „cywilu" członkiem zakonu Karmelitów. Przypadek? Nie. Naville pisze: „Wszystkie reakcyjne grupy są reprezentowane w spółce magnatów Banku Indochin, lecz ci, którzy tam panują, są niezaprzeczenie przedstawicielami potężnych interesów Watykanu i kongregacji". Przykład Vietnamu wskazuje, że Watykan poprzez swoje misje inwestuje kapitały w przedsiębiorstwa kolonialne, uczestniczy w polityce łupiestwa.

Zagmatwana polityka Watykanu w Vietnamie sprawia, że doniedawna „misje" katolickie podzielone były pomiędzy duchownych „francuskich" i „vietnamskich". Ta polityka sprawiła również że wybór burżuazji padł na mnicha-admirała, kiedy trzeba było wysyłać gubernatora do kraju gorejącego płomieniem walk narodowo - wyzwoleńczych pod wodzą Ho-Szi-Mina.

Warto tutaj dodać, że obok Banku Indochińskiego wiele innych pijawek obsiadło bohaterski lud Vietnamu. Przy takim układzie rzeczy nie można się dziwić, że imperialiści francuscy ustąpili bez walki złote jabłko imperialistom japońskim, skazując lud vietnamski na jeszcze gorszy wyzysk i terror. Zagadnienie targów i utrzymania sfery wpływów finansowych jest przecież zawsze zagadnieniem otwarym w świecie kapitału, kiedy umilkną armaty. Ale tym razem gorzki zawód spotkał wielbicieli Petaina i watykańskich polityków.

Lud Vietnamu przejął inicjatywę w dziedzinie decydowania o losach kraju w swoje ręce. Okres okupacji japońskiej stał się w Vietnamie okresem poważnego wzrostu świadomości narodowej i rewolucyjności mas. W roku 1941 powstała stworzona przez partię komunistyczną Liga Wyzwolenia Narodowego (Vietminh). Liga stanęła na czele zbrojnej walki przeciwko Japończykom. Od chwili, gdy japońscy raszyści weszli do Vietnamu kraj ten krwawić począł pod podwójnym jarzmem: japońskim i francuskim. Wynik był zatrważający. Od Quangtri do Północy dwa miliony Vietnamczyków zginęło z głodu w ciągu pierwszych miesięcy okupacji japońskiej. Vietminh tym skuteczniej walczył, walczył bezkompromisowo, skupiając wokół siebie cały niemal naród.

Nadeszły dni rozbicia faszystowskich Niemiec i Japonii przez Związek Radziecki. Nowy układ na arenie międzynarodowej stworzył pomyślne warunki dla rozszerzenia walk narodowo-wyzwoleńczych w krajach kolonialnych. W Vietnamie lud obalił marionetkowe rządy monarchistyczne. We wrześniu 1945 roku Vietminh ogłosił powstanie niezależnej Republiki Vietnamu. Na czele Republiki stanął Ho-Szi-Min, bohaterski przywódca awangardy ludu vietnamskiego, partii komunistycznej.

Ale teraz zgłosili się dla dalszej grabieży monopoliści francuscy, którzy pod pretekstem rozbrojenia Japończyków wysłali swoje wojska, wspierane przez oddziały angielskie. Młoda armia vietnamska podjęła walkę z najeźdźcami. Imperialiści ponosili klęskę za klęską. Anglicy musieli wreszcie wycofać swoje oddziały z Vietnamu, by bronić swojego stanu posiadania w koloniach, gorejących płomieniem walk wyzwoleńczych.

Ciasno się jednak zrobiło interwencyjnym wojskom francuskim. Rząd francuski podjął wobec tego pertraktacje z Ho-Szi-Minem, którego armia i rząd kontrolowały już wówczas 80 proc. terytorium kraju. Zawarto porozumienie którego treścią było uznanie przez Francję niezależności Republiki. Jednak pakt ten nie został nigdy wprowadzony w życie, bowiem właśnie ów admirał—mnich został po to posłany do Vietnamu, aby wbić nóż w plecy młodej Republice wypróbowanymi metodami jezuickimi. Czytając książkę Navilie'a z pełnym podziwem śledzimy tyle aktów dobrej woli ze strony Vietnamu w czasie prowadzonych pertraktacji i z równie wielką odrazą śledzimy ogrom intrygi i podstępów ze strony burżuazji francuskiej. Wyciągnięta ręka młodej Republiki została ordynarnie odepchnięta przez monopolistów z nad Sekwany. Wkrótce korpus interwencyjny wojsk francuskich wzrósł do 150 tysięcy żołnierzy, a wśród nich wielu SS-manów.

Tak zaczęła się bohaterska walka ludu vietnamskiego o niepodległość. Tak Francja zaczęła „brudną wojnę" w Vietnamie. Dziś rząd Republiki Vietnamskiej, uznany przez cały świat postępu i pokoju, panuje nad 90 proc. terenu kraju, stale w walkach uporczywych poszerza swoje władanie, umacnia władzę ludu. Francuzi stanęli ostatecznie na straconych pozycjach. Lud vietnamski czerpie przykład z bliskich Chin jak walczyć i pracować należy dla ostatecznego zwycięstwa. Z ludem vietnamskim jest lud francuski, jest cały obóz postępu i pokoju ze Związkiem Radzieckim na czele.

Te fakty nie tylko przyśpieszają ostateczne zwycięstwo Republiki Vietnamskiej, ale pomnażają entuzjazm Vietnamczyków w budowaniu nowego ładu. Dzięki podstawowym reformom gospodarczo - społecznym lud wziął na trwałe władzę w swoje ręce. Zmieniło się oblicze wsi vietnamskiej, przeprowadzono podział ziemi, zmniejszono do minimum czynsz dzierżawny, zniesiono niesprawiedliwe podatki. Powstały nowe gałęzie przemysłu, klasa robotnicza rośnie w liczbę i walczy skutecznie o wyższą produkcję. W kraju, w którym prawo do nauki mieli tylko Francuzi i bogaci, wprowadzono obowiązek powszechnego nauczania. W ciągu czterech lat 8 milionów Vietnamczyków nauczyło się czytać i pisać.

I to wszystko dzieje się w okresie nieustannych walk z najeźdźcą imperialistycznym, któremu z pomocą zamierza przyjść teraz USA. Nic jednak nie pomoże imperialistom ani w Vietnamie ani w innych krajach azjatyckich. W tych krajach tak jak na całym świecie przyszłość należy do ludu, przyszłość należy do postępu, wskazanego przez Lenina i Stalina, i na naszych oczach realizowanego w kraju zwycięskiego socjalizmu.

Tadeusz Orlewicz

Korespondencja

Szanowny Panie Redaktorze

Uprzejmie proszę o zamieszczenie na łamach „Wsi" poniższego listu.

Na prośbę reżysera granej obecnie w Teatrze Kameralnym w Warszawie sztuki Bałtuszisa pt. „Pieją Koguty", prof. Korzeniewskiego, napisałem tekst sceny wróżby Cyganki, zasadniczo zmieniając i rozbudowując mały epizod, znajdujący się w tekście litewskiego autora.

Ustnie, a następnie na piśmie, domagałem się wzmianki w drukowanym programie, że jestem autorem owej „cygańskiej" sceny, która, dzięki znakomitej interpretacji Marii Żabczyńskiej, nabrała świeżego, autentycznego charakteru. Żądanie swoje przedstawiam jako warunek SINE QUA NON.

Ponieważ okazało się, że nie uczyniono zadość memu warunkowi, komunikuję, iż tekst „cygańskiej sceny" jest mojego pióra, prosząc Pana Redaktora o opublikowanie niniejszego listu.

Z poważaniem
JERZY FICOWSKI

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA GDAŃSK
CIV 9037

Korespondencja

KLUBY LITERACKIE

Sprawa zabezpieczenia stałego dopływu do Związku Literatów Polskich — świeżych, z klasy pracującej wywodzących się pisarzy jest jeszcze ciągle aktualną. Swiadczy o tym ostatnia wypowiedź A. Brauna („Nowa Kultura" z dn. 10.XII.50 r.), jak również artykuł B. Chęcińskiego („Wieś" z dn. 29.X. ub. r.) i związana z nim dyskusja literacka na łamach „Wsi".

Bardzo ciekawym przyczynkiem w tej kwestii był też artykuł („Nowa Kultura" nr 28 z 50 r.) omawiający pracę Klubów Młodych przy poszczególnych miejskich oddziałach Z.L.P. Autor artykułu szedł jednak głównie po tej samej linii co autor notatki pt. „Kluby i Koła Młodych Literatów", zamieszczonej w „Sztandarze Młodych" (z dn. 5.IX.50). Obaj traktują sprawę trochę po dziennikarsku. Zgadzają się na to, że istniejące Kluby Młodych w Krakowie, Warszawie, Wrocławiu, Szczecinie czy Katowicach — nie mają wypracowanych socjalistycznych metod pracy, że źle pracują, itp. Twierdzą również wspólnie, że element, który opanował te kluby to w 85 proc. młodzież inteligencka lub drobnomieszczańska. Nie podają natomiast za pomocą jakich form, należy i kto powinien, za pomocą jakich organizacji czy związków — zdobywać młodzież robotniczą czy szkolną do owych Klubów Literackich.

Weźmy konkretny przykład, jak wygląda sprawa kadr w robotniczej Łodzi. — Nie wszyscy w Polsce wiedzą np., że m. Łódź liczy sobie 528 lat. Natomiast wszyscy uważni czytelnicy naszej prasy społeczno-literackiej wiedzą, że miasto nasze ma b. skromniutką tradycję literacką! — Obok pięknej karty z historii walk polskiej klasy robotniczej (od kółek „Wielkiego Proletariatu" do walki podziemnej z hitlerowcami łódzkiej org. PPR). Przecież łódzcy i niełódzcy starsi pisarze i poeci poświęcili temu miastu — pracy niewiele ponad 10 tomów, nie licząc luźnych wierszy czy artykułów.

Przyjrzyjmy się po krótce jak to było w istocie z klubami literackimi w Łodzi. Na początku, zaraz po wyzwoleniu pracował tzw. Klub Młodych przy Z.L.P., były to lata 1945/46. Klub ten choć nie żył długo dał kilku znanych dziś w Polsce Pisarzy. Później istniał w latach 1946/48 w Łodzi towarzysko-literacki Klub „Pickwicka". Klub ten organizował wspólnie z ówczesnym zarządem ZLP w Łodzi — wieczory autorskie łódzkich pisarzy i poetów. Frekwencja w ostatnim roku jego istnienia na wieczorach wahała się od 8 do 13 osób(!), a były to wieczory „publiczne". Klub miał do swej dyspozycji bogate środki informacji o swej działalności, jak radio, prasa, plakaty itp. Klub nie znalazł ścisłego powiązania z łódzką klasą robotniczą — musiał się więc rozpaść. Na tym urwała się akcja Klubów bezpośrednio prowadzonych przez łódzki oddział Z.L.P. Dalszy ciąg tej akcji podjęli w Łodzi aktywiści Związków Zawodowych.

W wydanej jeszcze w r. 1948 przez C.R.Z.Z. książeczce pt. „4 Lata działalności kulturalno-oświatowej Zw. Zaw. w Polsce", w rozdz. o życiu literackim ubolewano, że brak było (w l. 1945/48) zorganizowanych związkowych grup literackich — choć podkreślono, że są ku ich rozwojowi duże możliwości w Związkowych Domach Kultury! Faktem znów jest, że pierwsza związkowa grupa literacka powstała w Łodzi.

W maju 1949 r. powstał na terenie jednego z łódzkich Związkowych Domów Kultury — Związkowy Klub Literacki pn. „Przełom". Zadaniem nowego klubu było stworzenie dobrych warunków dla rozwoju kadr literackich, rekrutujących się z ludzi pracy — związanych jak najściślej z masami oraz dążeniami ich w okresie przełomu i budowy nowego ustroju oraz upowszechnianie i uprzystępnianie rozumienia socjalistycznej literatury wśród najszerszych rzesz związkowców. Zagadnienia te klub zaczął realizować drogą akcji samokształceniowej, tj. przez pogłębianie podstaw teoretyczno-literackich, świadomości ideologicznej swych członków. Za formy dalszego działania Klub „Przełom" przyjął: urządzanie stałych czwartkowych (wzorem radzieckim) dyskusji literackich nad twórczością współczesnych autorów i omawianie krytyczne utworów członków klubu, wieczory autorskie, konkursy recytatorskie, zespołowe redagowanie literackiej gazetki ściennej, kontakt i wspólne występy z innymi Sekcjami kult.-oświatowymi Domu Związkowego na scenach związkowych; współpracę kronikarską z pismami Zw. Zaw., itp. Klub ponadto utrzymywał stały żywy kontakt z Kołem Polonistów i Filologów Uniw. Ł. Od zarania swej działalności klub przyjął patronat Zarządu Oddz. łódzkiego Z.L.P. O dużym interesowaniu się łódzkiego oddziału „Przełomem" świadczy to, iż na dyskusjach bywali obok opiekunów, łódzcy pisarze i poeci: M. Ochocki, J. Miller, B. Chęciński, Cz. Schabowski i inni. Również Wydz. K.O. łódzkiej O.R.Z.Z. był w ciągłym kontakcie z „Przełomem". Na publicznych czwartkach literackich w klubie tym (1949/50) przeciętnie bywało 31 osób, przy skąpych środkach informacji.

W wspomnianej tu na wstępie ostatniej wypowiedzi A. Brauna „O dopływ nowych sił do literatury" — autor zgadza się na ogół na wysuniętą przez B. Chęcińskiego (we „Wsi") trójstopniową organizację klubów czy kół literackich. Stopniowanie to jest słuszne. Teoria ta znalazła już zastosowanie i w praktyce na terenie m. Łodzi. Oto z Klubu „Przełom", liczącego kilkunastu członków, który stałby na drugim stopniu proponowanej przez powyższych autorów sieci klubów literackich — pięciu najzdolniejszych członków powołano do organizującego się obecnie przy łódzkim Z.L.P. nowego Klubu Młodych. Przez to stwierdzono również, że Klub Literacki „Przełom" zadania swe na odcinku 2-letniej pracy samokształceniowej i społecznej wykonał pomyślnie.

Reasumując, należy podkreślić, że wypracowane formy pracy związkowego klubu literackiego w Łodzi powinny być naśladowane przez przyszłe tego rodzaju kluby, które powstaną na wsi czy w miastach w drugim roku Planu 6-letniego.

Z. Konicki
(Organizator i sekretarz „Przełomu")

---

[1]) M. in. J. Miller i A. Braun.

[2]) Organizatorem i kierownikiem tego klubu jest T. Gicgier (aktywista z „Przełomu")

SEWERYN SKULSKI

JADĄ WOZY ZE ZBOŻEM

56 wozów jeden za drugim posuwało się w dniu piątego stycznia z terenów Gm. Jastrząbie przez miasteczko Lipno w stronę spichrza spółdzielczego, aby sprzedać państwu zboże. Długą linię wozów poprzedzał z naszej gromady Rumanko-Karnkowo, radny Wiśniewski Józef. Miał radny Wiśniewski nie małe powody do zadowolenia i uśmiechu, aby nie gasł on na jego twarzy tego dnia. Nasza gromada sprzedała państwu ponad pięć ton zboża a cała gmina z dziewięciu gromad zsypała tego dnia państwu ponad trzydzieści ton. Gmina w rocznym planie dostawy zboża podskoczyła do 90 procent.

Nie ma blasków bez cieni. Popsuł się humor radnemu Wiśniewskiemu gdy sołtys gromady Jastrzębie uniósł napis do góry, że jego gromada już wywiązała się w 115 procentach (pierwsze miejsce w gminie), a gromada Konotopie w 102.

Tegoroczny skup i dostawa zboża stanowią nowy rozdział w historii naszej gminy. Wróg klasowy, bogaty chłop przegrał stawkę, na jaką liczył. Nie tylko nie powstrzymał średniaka od dostawy zboża państwu, ale sam to musiał uczynić. Za zeszłoroczną spekulacją zbożową pokazywano go tej jesieni palcem. Bo niewłaściwy zeszłoroczny rozdział zboża wolnorynkowego, pozwalał bogaczowi na spekulację. Nie liczono się z potrzebami rodziny i ilością osób w rodzinie, liczono się z ilością posiadanej ziemi często domagano się dostawy zboża od tego, który go naprawdę nie miał, a bogacze, którzy zazwyczaj rodziny mają nieliczne, masowo kontraktowali tuczniki, zakrywając się „obowiązkiem" wobec państwa, a w wyniku „zarabiali" na korzystnych warunkach kontraktacji tuczników i na przednówku na spekulacji wygórowanych „po cichu" cen za zboże.

Czas robi swoje o ile rewolucja wyciąga wnioski z tego, że „wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi". W tym roku nie tylko trójki zbożowe bardziej się orientowały, gdzie zboże jest i do bogaczy szły jak w dym, ale też szły już nie z „uświadomieniem", bo wroga można tylko zwyciężyć a nie uświadomić, szły z wolą mało i średniorolni. A wolą ich było: czas spekulacji i wrogiej dywersji mija!.

Trójki były wsparte w tym roku izolacją małorolnych, jaką bogacz odczuł w sezonie prac polnych. W tym roku nieprzyjęli małorolni „zaproszenia" kułaków do najemnej pracy. Nikt też do nich nie zgłosił się po maszynę żniwną ani siewną. Nikt nie poszedł po pomoc pociągową. Skończyły się liczne do niedawna dniówki odrobkowe za maszynę i konia. Mało i średniorolnemu przez ośrodki maszyn państwo przyszło z pomocą.

W domach małorolnych nie ma przeludnienia. Co dorasta, idzie do szkół fachowych lub wyjeżdża do fabryk i zakładów a każdy uzdolniony dostaje pomoc państwową i uczy się. Bogacz nie miał w tym roku komu odliczyć korczyków „na zjedzone" przez siły najemne. Ludzie to głęboko zrozumieli. Ostatni ustąpił strach o rezerwę... u bogacza.

W ubiegłych latach, do niektórych trójek zbożowych wkręcili się sami bogacze lub ich wtyczki albo zwyczajni kumotrowie bogaczy. Takie trójki po wejściu do bogacza, mówiły o wszystkim tylko nie o zbożu. Taka trójka nie gardziła „serdecznym" przyjęciem bogacza. Oprócz herbatki dzwoniły i kieliszki po zębach. A wtedy serca się rozluźniały i razem z bogaczem trójka lała łzy nad jego dzisiejszą niedolą. Na koniec powiedziano bogaczowi: — A odstawcie tam coś. I tylko „coś" odstawił.

W tym roku gospodarczym, Prezydium Gminnej Rady i Komitet Gminny PZPR zwracały baczną uwagę, ażeby do trójek zbożowych weszli tacy, którzy tam być powinni. Zaraz też na jesieni wróg klasowy dowiedział się, że w trójkach zbożowych nie ma jego popleczników. Ale wróg dalej walczył. Jeden rzekomo już nie miał zboża, inny znów nie miał czasu do młócenia. Czynnik społeczny znalazł czas na omłócenie. Tu i tam znaleziono ukryte zboże u tych, którzy go już „nie mieli". Ten i inny znalazł się w gazecie za swoją wrogość do Polski Ludowej, bo dobrze takich zapamiętano, którzy dla państwa w ubiegłym roku gospodarczym zboża „nie mieli", ale znalazło się dosyć zboża aby za niego pobierać podwójną cenę, co im obecnie przypominano.

W rezultacie wróg klasowy przyłapany na gorącym uczynku, przyciśnięty do muru zaostrzeniem się walki klasowej, które to zaostrzenie sam spowodował, na razie nie miał innego wyjścia jak pokazać swoją „dobrą wolę" państwu. Aktyw gminny przyrzekł że w 100 proc. roczny wymiar na gminę Jastrzębie będzie niebawem wyrównany. Dostawa zboża u nas nie zawiedzie. Klasa robotnicza miast ma w chłopie swojego prawdziwego brata.

Seweryn Skulski

Propozycje teatralne i filmowe

JÓZEF POGAN

DZIWNY KUŁAK

Znam na wylot kułaków, ich stosunki do biedniejszych, sposoby ich wykorzystywania dla zbijania majątku, ale takiego Wróbla jakiego przedstawił Janusz Warmiński w swej 2-aktowej sztuce drukowanej w 12 N-rze „Twórczości" — nigdy w swym życiu nie spotkałem.

Zajączkowska przychodzi na przednówku do Wróbla z prośbą o pożyczenie trochę zboża. Wróbel dąsa się, złości i krzyczy, że „Zajączkowski lata po chałupach i różne złe rzeczy na niego (na Wróbla) wygaduje, a do roboty to go nie ma"... przypomina, że „jeszcze mi z tamtego roku jesteście winni korzec ziemniaków, dwa worki kaszy, pięć dniówek odrobku (zapewne za konną robotę w polu) i coś tam jeszcze"... Znaczyło by to, iż między Wróblem a Zajączkowskim są już pewne zatargi. Ale o tym nieco później. Zajączkowska nie przestaje prosić, a Wróbel się rzuca, że „im nie będzie pomagał" i radzi im sprzedać gospodarstwo, wyjechać na Zachód itp. Zajączkowska nadal bezambitnie błaga i przyrzeka, że gdy „przystąpią do spółdzielni produkcyjnej to zaraz oddadzą". Wróbel zląkł się, pożycza zboże i prosi by Zajączkowski „przyszedł doń wieczorem".

Obawa Wróbla przed założeniem we wsi spółdzielni produkcyjnej i jego przebiegłość w skaptowaniu sobie biednego sąsiada (pożycza zboże) trafnie ujęte. Chodzi jednak o ten dłużny sprzed roku korzec ziemniaków, dwa worki kaszy (przypuszczalnie około 150 kg. — na co aż tyle) pięć dniówek roboczych i coś tam jeszcze"... Powstaje przeto pytanie: co skłoniło Wróbla do wypożyczenia Zajączkowskiemu tak dużej ilości żywności? na jakich warunkach wypożyczał, że tak długo nie żądał zwrotu ani odrobku? Bo drugi przednówek już nadszedł, a Zajączkowski choć jeszcze zjedzonej w zeszłym roku kaszy nie oddał, błaga o dalsze pożyczenie. Czyżby kułak Wróbel był taki cierpliwy i litościwy dla biedniaka? To wyjątkowe czekanie bogacza na zwrot swych należności wyjaśnia się niebawem. Wróbel specjalnie chciał zadłużyć biednego sąsiada, by w konsekwencji zagarnąć jego gospodarstwo i puścić go z „torbą na dziady", posiada bowiem na wypożyczoną przed rokiem żywność podpisane przez Zajączkowskiego kwity. Więc w takim razie Wróbel „mając głowę na karku", a nie wiedząc nic jeszcze o zakładaniu we wsi spółdzielni produkcyjnej, nie miał żadnych powodów kląć o dług na dotychczasowego swego parobka, a przyszłą ofiarę. Raczej wolien był jeszcze dołożyć drugi „korzec ziemniaków," dwa worki kaszy i coś tam jeszcze", by większa suma długu się uzbierała. Jednak jego dąsanie się i przypominanie, że Zajączkowski „różnie na niego źle wygaduje" dziwnie bałamuci sprawę i świadczy poniekąd o pewnych już między nimi zatargach. Mamy tu więc dylemat i nie wiadomo ku której sprawie bogaty Wróbel zmierzał: czy ku odebraniu należności? czy ku zadłużeniu sąsiada? Pierwsze wybielało by go, a oskarżało Zajączkowskiego, że po 1) bogacze są dość dobrzy, pomagają biedakom i długo nie żądają zwrócenia długu i po 2) że biedak korzystając z łaski bogatego sąsiada — nie dość, że tak długo nie zwracał należności, to jeszcze „źle na niego wygaduje", a mimo to bezambitnie i bezczelnie nadal śmie prosić o pomoc.

Drugie świadczyłoby mówiąc oględnie o dziwactwie Wróbla, który nie umie swymi sprawami dobrze kierować (chce zadłużać sąsiada, a nie chce udzielić pożyczki).

Obie te sprawy rozsadza znów trzecia, która po wojnie skierowała sposoby obrachunków sąsiedzkich nieco na inny tor: otóż w ostatnich latach bogacze stali się aż nadto ostrożni z wszelkimi pożyczkami i tak zawsze kombinują, by mieć „za ręką" zależnych od siebie biedaków i móc podawać im ceny odrobków itp. Wróbel jednak zdaje się być jakimś wyjątkowym człowiekiem i choć na „kwity", ale pożycza i długo czeka cierpliwie. Aż dopiero przy okazji wpada mu „bzik" do głowy i psioczy o ten dług. Zakrawający z początku na filantropa, staje się od razu, bez powodu jakimś półgłówkiem. Na półgłówka poniekąd wygląda również i Zajączkowski, gdy to z jednej strony „różne rzeczy na Wróbla wygaduje", a z drugiej znów — nie oddawszy jeszcze jednego długu — żebrze o dalszą pomoc.

W dalszych scenach, gdy we wsi zaczęto już mówić o zakładaniu spółdzielni produkcyjnej — Wróbel, Zajączkowski i inni już są dobrze przez Warmińskiego ukazani i scharakteryzowani. Ale przedtem — to ani przyłatał, ani przlepił, tylko... „ulepił" z fantazji.

Powie ktoś, że to drobiazg w sztuce. I tak i nie. Znajdą się inni, którzy wypunktują inne „drobiazgi". I trzeba żeby było jak najwięcej takich współtwórczo - reagujących czytelników i widzów. Mój „drobiazg" odnosi się do sprawy charakteryzowania postaci. Niech autor rozważy, czy nie należy poprawić tej charakterystyki. Dwa widzę rozwiązania:

1) Jeśli Wróbel ma żądać zwrotu— wzmocnić jego *panikę* i z niej wynikającą dezorientację i oślepiającą wściekłość. Że Zajączkowski gada na niego (ośmielił się!?) i że zanosi się na spółdzielnię — Wróbel zgłupiał i szarpie się bezplanowo. Tu trzeba wzmocnić, że tak powiem miniaturę „forrestalizmu" kułaka.

2) Jeśli Zajączkowski gada na Wróbla (będąc zadłużony) i żebrze nadal u niego — wzmocnić to ale z sensem — ukazując *chwiejność*, tego najmity — małorolnego, chwiejność już na wyższym piętrze walki klasowej, kiedy już odważa się psioczyć, zalegać z długiem i nacierać z nową groźbą. Więc może by tak: Zajączkowski jeszcze łapie dwie sroki za ogon. Ale tradycyjną już inaczej — po nowemu i pod wpływem nowego. Prosi o nową pożyczkę, nie oddał starej, a gada po wsi na Wróbla — jaki to łańcuch? Nie łaszenie się a grożenie!

Ty, kułaku, nim mnie zgnieciesz — musisz mnie kupować. Teraz nie tylko ja muszę o ciebie zabiegać, ty o najemną siłę — również. Dawniej można cię było tylko błagać, dziś można i postraszyć, i potargować się. Wpadam coraz bardziej w twoje „kwity" kułackie, ale gdy ty powiesz „ta karczma Rzym się nazywa" mogą uciec do jeich spółdzielni. Ta „polityczka" Zajączkowskiego nie byłaby przyjemna i czysta, ale z brudów rzeczywistych miejscowych interesów, zaostrzających konflikt między kułakiem i małorolnym, wydobywa się coraz czystsza świadomość drugiego końca — spółdzielni produkcyjnej. I póki Partia i działalność organizacji w danej okolicy nie wciągnie, nie wzmocni bezpośrednio i nie uświadomi małorolnych to w tej właśnie postaci wykorzystają oni przemiany: dwie sroki łapiąc za ogon.

Józef Pogan

O GAZETKACH FABRYCZNYCH I WIEJSKICH

Do Redaktora Naczelnego „Wsi"

Jako syn małorolnego chłopa, z trudem zdobyłem przed wojną maturę. Ten ważny w moim życiu moment był początkiem udręki przez kilkanaście lat: moje gorące pragnienie rozszerzenia i pogłębienia wiedzy przez studia uniwersyteckie nie mogło być zrealizowane.

Przeszkodą, uniemożliwiającą mi wstęp na wyższą uczelnię, była... matura szkoły zawodowej (seminarium nauczycielskiego).

Była to matura uprawniająca do nauczania innych i... o ironio... zamykająca drogę do dalszego kształcenia się na uniwersytecie.

Obecnie za stary jestem do rozpoczynania studiów uniwersyteckich. Wybrałem sobie jednak zawód, który stał się dla mnie uniwersytetem z wykładami codziennymi przez 7 godzin.

Nie ma piękniejszego zawodu nad zawód k o r e k t o r a. Czytam książki, ucząc się jednocześnie... i za to mi płacą... Moje marzenia o dalszym kształceniu zostały spełnione dopiero w Polsce Ludowej, bo dziś czytam jako korektor to, co naprawdę kształci do nowego życia, do nowego ustroju.

Ale po tym wstępie chcę mówić o czym innym: o **gazetkach fabrycznych i wiejskich.** Wstęp był po to, aby czytelnik wiedział, kto mówi na ten temat.

Otóż nie małą jest zasługą „Głosu Robotniczego", że propaguje ścienne gazetki łódzkich zakładów pracy, udziela rad redaktorom i organizuje wystawy gazetek (dotąd około 7).

Gazetki ścienne okręgu łódzkiego miały jedną zaletę: były czytelne nawet dla analfabetów (dużo „malunków") i jedną wadę, były mało czytelne dla **nie**-analfabetów, gdyż niektóre były pisane ręcznie i co najważniejsze — **w jednym egzemplarzu.** Jeśli n. p. fabryka o 2000 robotników zdobyła się na jeden egzemplarz gazetki, to — praktycznie rzecz biorąc — można powiewzieć, że nie ma tu gazetki ściennej.

Jeśli na 2000 robotników przeczyta gazetkę 100 osób, a 1900 nie przeczyta, czy odważy się ktokolwiek twierdzić, że gazetka spełniła swoje zadania?

Gazetka, ukazująca się 3 — 5 razy w roku — w jednym egzemplarzu — nie spełni zadania. A zadanie gazetek ściennych jest wielkie i ważne. Ciężar tego zadania spoczywa na treści tekstów, które winny dać obraz życia i pracy zakładu pracy, jego osiągnięć i niedociągnięć.

Nie święci garnki lepią — przekonał się o tym niejeden redaktor i autor artykułu gazetek fabrycznych. Ludzie ośmielają się na łamach swej gazetki do wystąpień publicznych na szerszej arenie, dokoła gazetki skupia się aktyw, który zasila kadry kierownicze zakładów pracy.

Udział w redagowaniu własnej gazetki zmusza do bystrej obserwacji i głębszego wnikania w potrzeby środowiska. Gazetka Zakładowa jest szkołą korespondentów fabrycznych, którzy piszą do dzienników i tygodników.

Czy wobec tych wszystkich walorów gazetek ściennych nie warto, by im zapewnić s t a ł e j opieki i pomocy fachowej, którą mogłyby objąć terenowe redakcje dzienników? Czy nie należałoby w szerokim zakresie premiować komitetów redakcyjnych lepszych gazetek?

Należy, bo to przyczyni się — i to w niemałej mierze — do sprawniejszego zrealizowania planu 6-letniego.

W „Nowej Kulturze" pisał Z. Stolarski o gazetce ściennej „Książki i Wiedzy". Miał on jako redaktor, wyjątkową satysfakcję — gazetka była drukowana i to w 100 egzemplarzach.

Tu — wydaje mi się, leży sedno sprawy. Gdyby gazetki można było drukować? (to są w rezultacie „jednodniówki", kiedy wychodzą 5 — 7 razy na rok). Albo chociaż na powielaczu?

I kiedy myślę o gazetkach świetlicowych na wsiach, z przeładowaną częścią „malunkową" i ubogim tekstem, tym silniej się umacniam w propozycji: **gazetki powielaczowej, wieloegzemplarzowej i częstej.** Tę myśl wysuwam do dyskusji.

Stanisław Walicki

MARCIN WIELGUS

„SPECOŻERCY"

Dużo pisaliśmy już o działalności biurokratów. Jednakże każdy kij ma dwa końce. Akcja zwalczania biurokratyzmu nie powinna wyradzać się w ucisk naszej inteligencji pracującej. Tego rodzaju zagalopowanie powoduje często mniej lub więcej komiczne efekty — a zawsze bardzo poważne problemy.

Oto autentyczne wydarzenie, jakie miało miejsce w ubiegłym lecie w powiatowym mieście Żary, w woj. zielonogórskim, a które zanotowała „Trybuna Ludu" nr 239 z 1950 r.

Proponujemy naszym literatom wykrajać z niego scenariusz komedii filmowej. Naszym zdaniem mógłby być nawet lepszy niż „Kłopoty referenta Trziszki".

W dn. 6 sierpnia 1950 r. trzydziestu mieszkańców Żar, otrzymało tajemnicze pismo Prezydium Powiatowej Rady Narodowej, zawiadamiające o zebraniu w niecierpiącej zwłoki „sprawie państwowej wagi". Zebranie miało się odbyć nazajutrz z samego rana. Cel został przemilczany (zapewne tajemnica państwowa). Zagadkowe pismo otrzymały same „gruby ryby" — cała „śmietanka" Żar. Nazajutrz na zebraniu między innymi oglądali się zdumieni ob. ob.: dyrektor Przedsiębiorstw Miejskich, Fajtlowicz, dyrektor oddziału Banku Narodowego, Partyka, dyrektor Zjednoczenia Węgla Brunatnego, Moszner, naczelnik Urzędu Skarbowego, Jabłoński, dyrektor Zakładów Bawełnianych, Drukier itd. Stawili się co do nogi dyrektorzy, naczelnicy i kierownicy. O godzinie 9 z minutami zjawił się instruktor komitetu powiatowego i wygłosił przeszło półgodzinne przemówienie, podczas którego zaapelował do sumienia ob. ob. dyrektorów, naczelników i kierowników, omówił wyczerpująco znaczenie zbóż kłosowych w gospodarce narodowej oraz naświetlił sytuację polityczną... Na samym końcu okazuje się, że chodzi o żniwa.

Ponieważ zanosiło się na deszcz, zadecydowano, że dyrektorzy, naczelnicy i kierownicy mają natychmiast wsiadać na samochody ciężarowe i nie tracąc zbytecznie czasu na porozumiewanie się ze swymi biurami „gazować" do zespołu PGR Żary, aby tam pomóc ...w akcji żniwnej. Nie pomogły inteligenckie tłumaczenia, że przecież tam w biurach, fabrykach, instytucjach nic nie wiedzą, że może tam stanąć praca... Przewodniczący Powiatowej Rady Narodowej Szewczyk oraz instruktor komitetu powiatowego Pietrusiak byli nieubłagani: „Deszcz wisi na włosku, a oni tu o swoich fabrykach i biurach! Znamy te inteligenckie wykręty już my tam nie damy się podejść dyrektorom!"

No i dyrektorowie, naczelnicy i kierownicy pojechali. Pojechali pełni niepokoju w swych inteligenckich sercach o los opuszczonych zakładów, biur, instytucji. Gdy dyrektor Drukier podawał na furę snopek żyta, fabryka bawełniana zatrudniająca 200 ludzi pozostała bez kierownictwa... Przez cztery godziny 150 uczniów czekało na wykład ob. Betta, który w tym czasie uwijał się z grabiami na polach zespołu Żary. Nie odbyło się tego dnia szkolenie partyjne, wśród towarzyszy zatrudnionych w Przedsiębiorstwach Miejskich, bo wykładowca, dyrektor tych przedsiębiorstw Fajtlowicz zwoził w tym czasie zboże. Oddział Banku Narodowego był na pewien czas niemal unieruchomiony, ponieważ klucz od niezbędnej pieczątki znajdował się w kieszeni dyrektora Partyki, który w tym czasie mocował się z widłami.

W sumie — satyra na „nadgorliwość", źle pojęte akcje, na doktrynerskie podejście do inteligencji pracującej, na „inteligentofobię", bo w gruncie rzeczy jak się okazało, żniwa były jedynie pretekstem do wyładowania niezdrowych nastrojów panujących wśród żarowskich władz w stosunku do kadr inteligencji pracującej.

Problem ogólny utworu: zagadnienie wypaczania akcji, gdy się „przesoli" i traktuje ją bezdusznie w oderwaniu od całokształtu spraw i zagadnień budownictwa socjalistycznego; problem lewackiego „specożerstwa".

Marcin Wielgus

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet.
Adres Administracji: Warszawa, ul. Wiejska Nr. 12 Adres Redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza Nr 7.
Prenumerata i Kolportaż: P. P. K. „Ruch", Oddział w Warszawie, ulica Srebrna 12, tel. 804-20 do 25
Tel. Red. Nacz. 72[illegible] Tel Redakcji 751-80 [illegible]9 wewnętrzny 23 i 80.
Wyd.: SPÓŁDZIELNIA WYDAWN. - OSW. „C Z Y T E L N I K"
REDAKCJA NIE ZAMOWIONYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA
Wpłat na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży 16. Chmielna 25.
W a r u n k i p r e n u m e r a t y:
miesięcznie 3—zł.; kwartalnie 9—zł.; półrocznie 18—zł.; rocznie 36—zł.;
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO. Warszawa VII—1080/110 z zaznaczeniem „za tyg. „Wieś".
Drukarnia nr 2 Spółdz. Wyd.-Ośw. „Czytelnik". Marszałkowska 8/5
2-B-11369